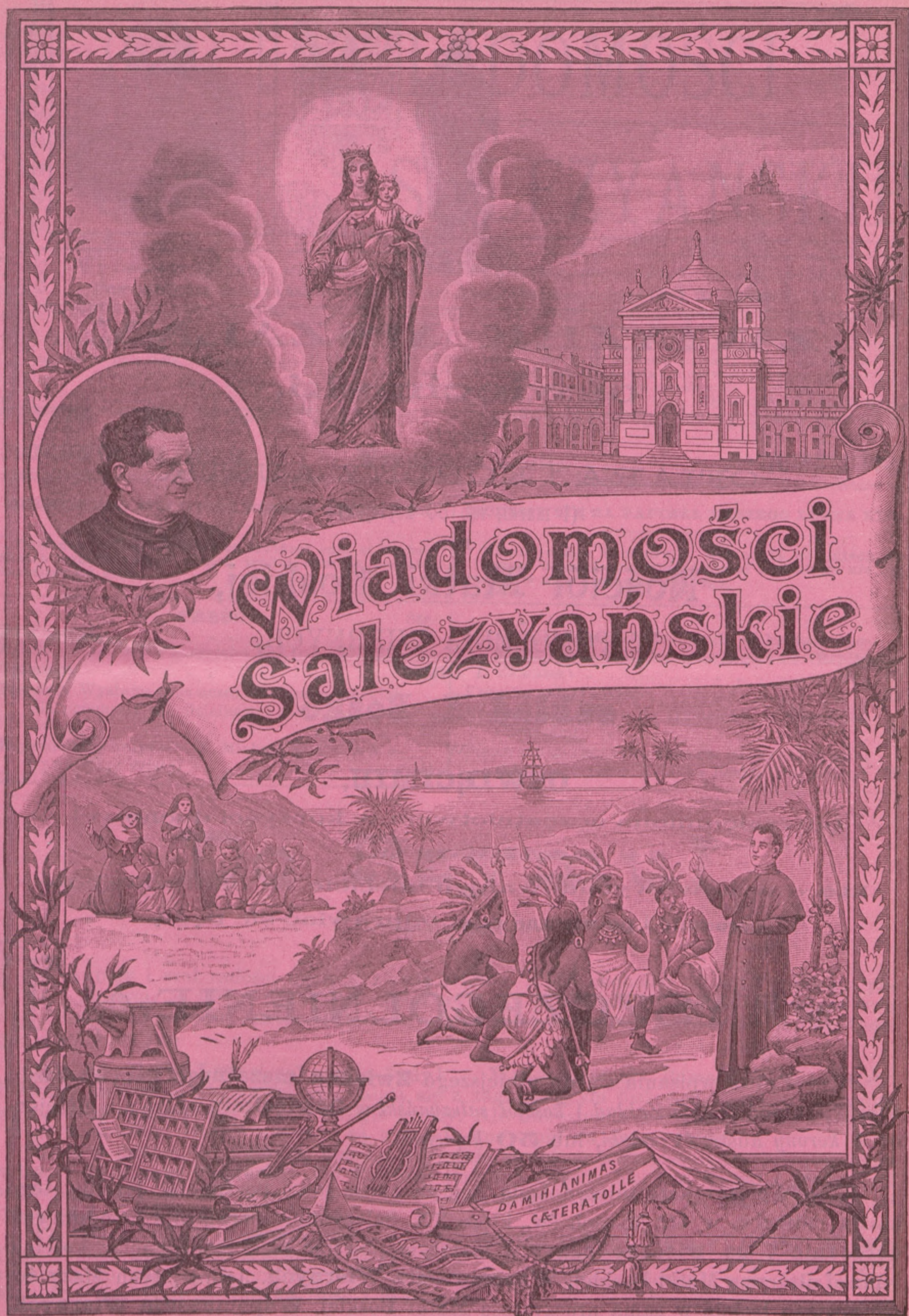
N. 2. Rocznik VI. Luty 1902.



Turyn — Drukarnia Salezyańska — Turyn.



ZWIĄZEK MSZALNY
oświęcimski,

czyli

OFIARA 1 KORONY AUSTR.

(1 marki, lub 50 kopiejek)

na

Kościół Matki Boskiej,

WSPOMOŻENIA WIERNYCH,

i na

zakład X. Bosko

w

OŚWIĘCIMIU,

odwzajemniona uczestnictwem w korzyści duchowej

z 12 Mszy św.,

które w nowowybudowanym kościele za ofiarodawców

corocznie i po wieczne czasy odprawiać sie będą.

WYSZCZEGÓLNIENIE.

1. — Prawa wpisania się do niniejszego **Związku mszalnego** nabywa każdy wierny, składający na *Zakład* i *kościół salezyański* w **Oświęcimiu** ofiarę nie mniejszą od **1** *korony* austr. (**1** *marki*, lub **50** *kopiejek*).

2. — Wpisani uczestniczyć będą, tak za życia, jak i po śmierci, jeżeliby tego zaszła potrzeba, w **12** Mszach św., które XX. Salezyanie zobowiązują się odprawiać **corocznie** i **po wieczne czasy** w mającym powstać ze składek i ofiar kościele i przed ołtarzem Matki Boskiej, **Wspomożenia Wiernych**. Jedna z tych Mszy św. odprawianą będzie w samą uroczystość Matki Boskiej, **Wspomożenia Wiernych**, czyli 24go maja.




WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

Wychodzą w językach: *włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim i polskim*
Pomocnikom salezyańskim posyłają się **bezpłatnie**.— *Adres:* TURYN, Via Cottolengo 32, ITALIA.

A ktoby przyjął jedno dziecią̨tko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(MAT. XVIII, 5)

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież PIUS IX.)

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św. LEON XIII.)

ROCZNIK VI. Nr. 2. Wychodzą co miesiąc. **LUTY 1902.**

OREMUS PRO PONTIFICE NOSTRO LEONE XIII.

Dominus conservet eum et vivificet eum et beatum faciat eum in terris et non tradat eum in animam inimicorum eius.

MÓDLMY SIĘ ZA PAPIEŻA NASZEGO LEONA XIII.

Niech go Bóg zachowuje, wzmacnia go, niech go uczyni błogosławionym na ziemi i niech go nie podaje w moc nieprzyjaciół jego.

TREŚĆ:

Do Rzymu!

TRYUMF i szał radości ogarnął ziemię: LEON XIII obchodzi 25-letni jubileusz papiestwa. 28 lutego 1878 roku został wybrany papieżem, a 3 marca włożył na swe skronie potrójną koronę. Tak uroczystą rocznicę obchodzili przed nim tylko św. Piotr i Pius IX.

Oto zwyciężył Lew z pokolenia Judy!... Wre złość piekła. Burzą się niecne umysły. Bałwany kacerskiej nienawiści przewalają się z zagłuszającym łoskotem. Z nieba zaciągniętego czarną chmurą sypią się złowrogie gromy. Ale nierozumna jest każda walka z Bogiem i Jego Kościołem! Głupie i próżne są wszelkie knowania na Jego potęgę!

I oto z Rzymu, od Papieża, lecą na wszystkie strony gońce z pieśnią tryumfu, szczęścia radości: **Jubileusz Papieski! Do Rzymu!** Radosna nowina leci nad wioski i grody, leci przez pola, lasy, morza, jej echo obija się o zimne szczyty gór. Twardy głaz budzi się do życia i zagrzewa do miłości Papieża.

Po całym świecie przeszedł dreszcz... **Do Rzymu myślą!** brzmi od jednego do drugiego krańca ziemi. Niech żyje ten umysł, co z watykańskiej opoki o wszystkich myśli narodach, co wszystkich prawa i uczynki bezstronnie osądza i mierzy, i waży ludzką niewinność i gnębienie — ludzką złość i brutalność.

Do Rzymu sercem! rozlega się od wschodu słońca do zachodu. Uwielbiajmy to czułe serce Chrystusowego Namiestnika, którego kochaniem jest sława Boga i szczęście krajów, które płacze nad naszą niedolą, które jest zakrwawione zaślepieniem umysłów i zatwardziałością serc.

Do Rzymu słowem! Czcijmy to nieomylne słowo, które z watykańskiej katedry rozchodzi się po krajach i odchyla zasłonę prawd wiecznych. Przed tem słowem pierzchają, jak wiatry, ćmy błędów, tego słowa lękają się mocarze i ciemiężcy, to słowo jest balsamem pociechy strapionym.

Do Rzymu ofiarą! W wiecznem mieście żyje obdarty przez sektę z swych dóbr Ojciec narodów. Smutna jego dola. Bałwochwalcze ludy wyciągają ciemne ku niemu ręce, wołając: „*Wiary-cywilizacyi!*“ I szłaby do nich ta wiara i zagościłaby się w ich szczepach cywilizacya, ale Watykan umyślnie okradziony, aby ta wiara się nie rozpościerała, aby cywilizacya katolicka nie władała światem. A przecież zabrzmiało raz Słowo Boże: „*Nauczajcie wszystkie narody*“. Takie jest zadanie kościoła, takie jest posłannictwo wiary. Wobec Słowa Bożego zmarnieją sekciarskie zawady, bo hojność katolickich serc przezwycięży złość i zmawiające się na zgubę papiestwa sekty, gwałt i oręż.

Do Rzymu modlitwą! Pochylony starzec wzniesie w nowem mieście siedmiu pagorków ręce do nieba i zdroje łask spłyną na świat cały. Otworzy kluczem Piotrowym skarby Kościoła i morze dobrodziejstw duchownych zalewa narody. Już 92 razy przed nim roztoczyła wiosna swe szmaragdowe kobierce. Użycz mu, o Boże i Panie Wieczności, użycz Twemu Namiestnikowi dłuższego życia, by dalej prowadził swe rządy, dalej sterował swą łodzią i ujrzał świat cały upokorzony u stóp swoich!

Do Rzymu pielgrzymką! W watykańskiej twierdzy bolesny rozlega się jęk. To Papież-Więzień wzywa pomocy swych synów. Idą narody, płynie do Rzymu ludzkość z hołdem i wyrazem synowskiego poddania, zgina kolana przed Piotrem i mówi: *Nie zwyciężą!*

Zbutwiałe kacerstwa zmierzają do obalenia Katedry Piotrowej: „*Precz z Rzymem!*“ krzyknęła bluźnierczo czereda. Cóż z tego? Co to pomoże? Rzym zjednał sobie sławę nieśmiertelną a Katedra Piotrowa wznosi się na niewzruszonej opoce. Słowo Boże stoi na straży Watykanu, o którego mury skruszyły się już zęby niejednej napaści, niejednej herezyi. Bądź co bądź, mówią niewierni, świat należy do chrześcijaństwa i Kościół jest duchowną monarchinią wszystkich państw świata. Na głowę Kościoła, jako na górę, do której popłyną wszystkie narody, muszą się wciąż oglądać nawet niewierzący politycy. Mimo bezbożności swojej muszą rezultatami prac swoich stwierdzać, że Kościołowi katolickiemu należy się panowanie całego świata i do niego skierowane są najwyższe myśli wszystkich narodów.

Każdy wiek ma swe zadanie do wypracowania, do wcielenia w czyn: pod światłem i ciepłem Kościoła ta praca wschodzi i rośnie. Kościół posiada oryginał Boski tej pracy, z którym ją porównuje, chroniąc ją od tego, co błędnego wkraść się może do ludzkich wyobraźni. A na falach tych wiekowych wyobrażeń ster łódki zbawienia ma Papież; on kieruje tak łodzią, aby prądy czasu nie porwały jej z drogi przeznaczenia. Gdy ludzkość dąży do celu swojego pod ręką nieopuszczającej jej Opatrzności, najdotykalniej i najbliżej ta ręka Opatrzności dostrzedz się daje w tym, któremu w widzialnym porządku jest powierzonym ster całej ludzkiej dążności — w Papieżu. Albowiem w jakim że to blasku ukazuje się nam niezawodnie Leon XIII wśród burzy chaotycznych rewolucyi żywiołów społecznych! On nam pokazał niewzruszony punkt wyjścia do przyszłego wypogodzenia społeczeńskiego widnokręgu, encyklikami opartemi na zasadach Kościoła. On przebudził chrześcijaństwo z ospalstwa. On jest początkiem ruchu kościelnego. To też dzisiaj świat katolicki jest dość rozwinięty na to, aby w dwudziestopięcioletnią rocznicę wstąpienia Leona XIII na najwyższą godność na ziemi, myślał o swym Papieżu, by go czulej kochał, by go uczynił przedmiotem swych rozmów, by nań złożył swoje świętopietrze, by się zań modlił, o ile możności, podążył do jego stolicy, by zgiąć przed nim kolano i krzyknąć w uniesieniu:

Niech Żyje Leon XIII!



Miłość Chrystusowa przyciska nas.



(*Ciąg dalszy*).

Obowiązkiem tak ogólnym, jak poczucie chrześcijańskie, jest nie gorszyć bliźnich, nie być roznosicielem zaraźliwej rozpusty i niskim środkiem, w mocy szatana, do kroków, które się z drogami bożemi rozchodzą w przeciwne strony. W tej kwestyi odzywa się głośno ewangelia (1) i nakazuje, by w sercu i uczynkach chrześcijanina biło tętno budującego życia Chrystusa Pana, oraz odzwierciadliły się Jego przykładne Boskie obyczaje. Mianowicie rodzice i osoby stojące na drabinie spółecznej o jeden szczebel wyżej od swych braci, nie powinni sobie lekceważyć zaufania dzieci i podwładnych, bo nie godzi się tym, których okoliczności uczyniły pierwowzorem, być zakałą otoczenia.

Natrafiamy niekiedy na umysły znękane wątpliwościami, obsaczone chwiejnością dlatego, ponieważ oś ich wiary jest ciężko nadwerężona. Doprawdy wykwintną miłością jest zagarnąć wtedy wpływ na te rozstrojone dusze, radami i pouczeniem objaśnić im zakwestyonowane artykuły i przenieść punkt ciężkości z wątpienia na niewzruszoną opokę religii.

Podejmując ideę samej Ewangelii św., wskazuję palcem na inny jeszcze przejaw miłości, na który wszyscy się zdobyć mogą, mianowicie na modły wzniesione do Boga, za potrzeby duchowne bliźnich, czy to żyjących, czy umarłych. Niestety modlitwa u wielu stoi na uboczu, bo zepchnięta została do rzędu tandetów, które, stykając się z postępem, pokrywają się rdzą przestarzałości i zapomnienia. Ale odpierajmy to przekręcanie faktycznego stanu rzeczy, przypomnijmy sobie, że modlitwa stanowi organiczną całość z religią i pokrzepmy naszą wiarę w jej stanowczą skuteczność, przy źródle Pisma św. Chrystus rzekł: „*Tenci rodzaj nie bywa wypędzon, jedno przez modlitwę i post*“ (1); „*Módlcie się, abyście nie weszli w pokusę*“ (2); „*Szymonie, Szymonie, oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę, alem ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja*“ (3), jakoby mówił, że wytrwanie w życiu wewnętrznem i duchu religijnym przypisać należy modlitwie. Nadto w księgach machabejskich czytamy: „*Święta i zbawienna jest myśl modlić się za umarłe, aby byli od grzechów rozwiązani*“ (4). Pochwyciwszy tę prawdę, nie dajmy się zbić z tropu manipulacyom oszukańców i pozwólmy, by nasze modły, akty strzeliste i ofiarowanie swych czynności i cierpień, tworzyły obfity potok ulgi płynący w krajnę czyśca. Godzinki, różaniec św. wspólnie w rodzinie odmówiony, słuchanie Mszy św. lub ofiarowanie tejże, bywają nieraz lekkomyślnie nazwane drobiazgami na polu religii, których chwytać nie warto.

---

(1) Mat. XVIII, 6-7. A ktoby zgorszył jednego z tych małych, którzy w mię wierzą, lepiej aby mu zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono go w głębokości morskiej . . . biada człowiekowi onemu, przez którego zgorszenie przychodzi.

(1) Mat. XVII, 21.
(2) Mat. XXVI, 4.
(3) Łuk. XXII, 31-32.
(4) Łuk. XII, 46.

Lecz my na tym punkcie okażmy się nieustępnymi. Te praktyki mają tę dogodność, że, pomimo swej łatwości, są urozmajceniem życia domowego, silnym czynnikiem wychowawczym, strawą duchowną rodziny, a ofiarowane za dusze czyścowe są często ich jedyną deską zbawienia.

W pragnieniu licznych zapewne czytelników będzie leżało, abym także objaśnił, które praktyki religijne odnoszą najlepszy skutek. Jednakże tak dosadne objaśnienie stawionej kwestyi, iżby obejmowało wszystkie fałdy nabożeństwa chrześcijańskiego, byłoby zbyt uciążliwą rzeczą i sprowadziłoby zbytnie przedłużenie artykułu. Z tego powodu szkicuję niektóre rysy z całego obrazu, któryby można wierznym przedstawić: zestawienie dalszych szczegołów uważam nad mój obowiązek.

Z pomiędzy modlitw ustnych niewątpliwie najskuteczniejszemi są Ojcze Nasz i Zdrowaś Maryo, dlatego że same Bóstwo przez swe usta lub za pośrednictwem posłańców niebieskich i świętych takowe ułożyło. Również i Kościół święty przepisał różne modlitwy, inne zaś zalecił i uposażył odpustami. Z tych wyróżniają się Różaniec św., różne nowenny potwierdzone i odpustami wzbogacone, na cześć Najsł. Serca P. Jezusa i Najśw. Maryi P., Wspomożycielki Wiernych, a w szczególniejszy sposób t. zw. akt heroiczny miłości. Ten akt na tem polega, by chrześcijanin, zdobywszy się na szczyt miłosierdzia względem dusz czyściowych, ustąpił im, raz na zawsze, wszystkich zasług zadosyćczyniących osobiście sobie zjednanych za życia i wszystkich modlitw, które za niego w jakimbądź czasie inni ofiarować będą (1).

Zresztą ten pewnik, że sama natura rzeczy czyni siłę modlitwy zależną od usposobienia błagającego (*ex opere operantis*), powinien dać powód każdemu do obierania owej modlitwy, do której jego serce w różnych kolejach życia najsilniej się nakłania. Ta swoboda wpływa na modlitwę bardzo uszlachetniająco i głos duszy nieporządny, gwałtowny, zdradzający gnieżdzące się w steranej duszy upokorzenie, żal, miłość i t. p., częstokroć jest nacechowany intenzywniejszą siłą, niż steryotypowe, lubo bardzo śliczne i bogate w odpusty, stronice książek do nabożeństwa. Nasze wnętrze ulega bez wysiłku transformacyi, jeżeli zmysły uderza przedmiot rozdzierający monotonną jednolitość życia. W tych przerwach wypływają często jaskrawie na jaw siły duszy; gwałtowna, ognista modlitwa bucha z serca i nabiera wobec Miłosierdzia Bożego bardzo wymownych i zniewalających odcieni. Taką zewnętrzną potężną budzicielką są (często zwalczane) pielgrzymki do cudownych obrazów Zbawiciela lub Najśw. Maryi Panny, odmawianie pewnych rozrzewniających modlitw i nowen, którym się wierni starego pokroju, z pewną budującą łapczywością, oddawali. Mimojazdem godzi się natrącić o tem, iż chwilą, kiedy zarzewie modlitwy gore najpotężniejszym płomieniem skutku, jest komunia św., w której samo Źródło łask staje się naszą własnością i sam Bóg z nami przybiera postawę błagającego.

Co do mszy św. omijam wszelkie badania, poglądy, dyskusye teologów; a przedstawiam tylko kilka fundamentalnych objaśnień. Głównym kapłanem w ofierze Mszy św. jest sam Jesus Chrystus. Wszakże jak, gdy kilka posłów przychodzi do króla z darami, chociaż jeden tylko przemawia, wszyscy atoli są posłami i wszyscy składają dary; tak we Mszy św., lubo sam kapłan poświęca Najśw. Ofiarę — bo on tylko ma władzę — wszyscy chrześcijanie jednakże z nim ofiarują. O ile tedy kto czynniejszy udział

---

(1) Akt heroiczny może być tak sformułowany: Boże mój! W zjednoczeniu z zasługami Jezusa Chrystusa i Najśw. Maryi Panny, ofiaruję Ci za dusze czyścowe wszystkie moje uczynki zadosyćczyniące i te, które inni za mnie przy życiu, w godzinę śmierci i po zgonie ofiarować będą (Ks. Bosko, *Młodzieniec zaopatrzony*, część II).

bierze w tej ofierze, słuchając Mszy św., służąc do niej, lub ofiarując takową na daną intencyę, o tyle większych dóbr czyni uczestnikiem siebie lub tego, za którego ją ofiaruje, a może nim być żywy zarówno, jak i umarły. Msza św. tak wielkiej jest wartości, iż gdyby na jednej szali położono wszystkie błagalne ćwiczenia i prośby wszystkich ludzi i wszystkich Aniołów, a nawet Królowej Aniołów i ludzi, gdyby razem zebrano te modlitwy, jakie do Boga zanieść mogą wszystkie stworzenia przez całą wieczność, gdyby Bóg stworzył tysiące innych światów i zaludnił je milionami Serafinów błagających i proszących Stwórcę — wszystko to nie byłoby Panu tak miłe i nie wyjednałoby nam tyle łask, ile jedna Msza św.; w niej bowiem ofiaruje się sam Syn Boży Ojcu Niebieskiemu, a więc ta ofiara jest nieskończonej wartości. Niemniej pewnem jest, że owoce spływające z Mszy św. na nas są ograniczone i stoją w prostym stosunku do przyjęcia Ojca Przedwiecznego, do naszej gorliwości i usposobienia tych, za którą ją ofiarujemy, i (co do owoców *ex opere operantis*) do żarliwości ofiarującego kapłana. Dla tej przyczyny Kościół św. od dawien dawna trzyma się tego zwyczaju, by dla wyproszenia jednej łaski i ratowania jednej duszy ofiarowano więcej Mszy św. i z tej też racyi odróżniają się, jako bardzo odrębnej wartości, Msze św. odprawione w odrębnych okolicznościach miejsca, uroczystości i czasu.



Indyanie Ziemi Ognistej zebrani w Misyi.

Msza św. spiewana lub z wigiliami i konduktem powiększa niechybnie owoce płynące *ex opere operantis*, przygotowuje źle usposobionych do udziału w owocach, które nam Bóg z Mszy św. raczy udzielić, i wymusza na Bogu łaski w większej obfitości. Msza św. odprawiona pod wezwaniem i protekcyą jakiegoś Świętego, lub przed cudownym obrazem, nie tylko robi Bogarodzicę, lub Świętych naszymi orędownikami przed tronem Bożym w sprawach, na których nam zależy, lecz czyni swoje także w naszem usposobieniu. W końcu Msza św., której Papieże nadali szczególniejsze odpusty lub przywileje, tem się znamionuje, że sam Kościół św. ostatecznymi wysiłkami wywalcza dla nas u Boga pełność nadanych jej łask. Jeżeli więc ta Msza św. odnosi istotnie cały skutek, wtedy dusza czyścowa bywa natychmiast z mąk wyzwoloną lub w wypadku ofiarowania Mszy św. za żywego, jeżeli tenże nie stawia przeszkód, bywa oczyszczony z wszelkiej powinności do kary. Ponieważ jednak Kościół czyni to na sposób prośby, przeto o absolutnej pewności mowy tutaj być nie może i wskutek tego te Msze św. powtarzają się kilka i kilkanaście razy na ten sam cel.

(Ciąg dalszy nastąpi).



GROMNICA.

Woskowa świeca, pokropiona w kościele w dniu 2 lutego święconą wodą, ma moc cudowną odwracania gromów.

Tak nas uczyli nasi ojcowie, którzy, gdy czarna gradowa chmura nadciągała, wydobywali z za obrazu Najświętszej Panny żółtą świecę i zapalali ją, aby piorun omijał ich dach i strzechę i aby grad oszczędzał złoty zagon pszenicy i niebiesko kwitnącą grządkę lnu, otaczające nasz ubogi domek barwną szachownicą.

Dopiero w szkole dowiedziałem się, że to wszystko bajka. Uczeni całego świata dowiedli, jak na dłoni, że nie świeca gromniczna ale piorunochron, wynaleziony przez Franklina, ma moc ściągania piorunów i odprowadzania ich do studni z wodą. Przypominam sobie, że nauczyciel zadał nam jakiś wiersz o Franklinie, były w nim słowa:

„Uchwycił piorun w ręce i"

co z tym piorunem potem zrobił — nie pamiętam.

Duch krytyki i sceptycyzmu, który dziś tak okropnie nam dokucza, siedział już wówczas we mnie, ośmioletnim chłopaku; już wówczas miałem ochotę przedstawić nauczycielowi, że w rzeczywistości takie łapanie piorunów w ręce, jest nieco ryzykownem... Polemika atoli z nauczycielem była niemożliwa. Z nauczycielem polemizować pół biedy, ale nie z jego trzciną... a była nowa, bambusowa i błyszcząca.

Czasy się zmieniły. Odstąpiliśmy od teoryi i wierzeń naszych ojców i nauczamy dziecko, że dom, w którym mieszkamy, chroni od pioruna żelazny drąg, pozłocony na końcu. Z tą wiadomością przychodzi dziecko do szkoły.

W szkole dowiaduje się, że to wszystko bajka. Uczeni dowiedli, że piorunochron Franklina ochrania tylko taką przestrzeń w promieniu, jaka jest długość jego począwszy od dachu, że przeto na dachu może stać drąg żelazny swoją drogą, a piorun może walić około niego swoją drogą.

— A więc cóż strzeże dom od pioruna? — pytają nauczyciela dzieci. — Co?

— Czy ja wiem? Łaska i opieka Boska. Dom ocali od gromu świeca gromniczna, ocalą słowa modlitwy Chrystusowej: „*Ale nas zbaw ode złego. Amen.*" Przeżegnaj się, dziecko, i patrz śmiało w ołowianą chmurę, w której grad wre i kipi, której blask oślepia, w której pioruny jak wściekłe szaleją, trzęsąc marną powłoką naszej ziemi.

Fala ludzkich przekonań przypływa i odpływa, jak zielona morska woda, która przykrywa i odkrywa brzegi lagun weneckich. Przybywająca i odchodząca płytką mielizną morską zmienia się codzień i co chwilę, jak rozumowania i sądy ludzkiego rozumu; nie zmienia się jednak i nie zmieni się nigdy bezdenna głębia wiary ludzkiej w moc Bożą.

Fala wyrzuca często na mieliznę perłę kosztowną, częściej jednak polipa morskiego; w sferze ludzkiego ducha zaczyna się poszukiwanie pereł w głębokiem morzu wiary i coraz mniej ufa się jednodniowym pewnikom rozumu.

Bańki mydlane, świetne barwami pawiego pióra, pękają jedna po drugiej.

* * *

Tysiącem woskowych świec jaśniał

kościół podczas sumy. Ksiądz proboszcz zaintonował pieśń o Serdecznej Matce, Opiekunce ludzi, odmówił cichą modlitwę i pokropił święconą wodą gromnice strojne wstążkami, płonące w rękach ludu, który, gdy „*jegomość*“ opuścił kościół i organy umilkły, wychodził strojny i barwny ze świątyni.

Ojciec mój bezpośrednio po przyjściu do domu zaświecił gromnicę i wypalił na belce powały ogromny czarny krzyż. Krzyż taki nigdy przy bieleniu domu nie bywa wapnem zamalowany, lecz trwa aż do drugiego święta Matki Boskiej Gromnicznej. Obok niego zawiesza się „*światek*“, misterna kula z opłatków, robiona zwykle w Wigilię Bożego Narodzenia, pęk ziela, poświęconego w uroczystość Najświętszej Panny Zielnej i „*palmę*“, z niedzieli Kwietnej czyli Palmowej. Po wypaleniu na bielutkim pułapie krzyża, chowano gromnicę, wraz z wstążką za obraz Częstochowskiej, który zdobi dziś każdy dom polski. Gromnicę chowa się jako świętość domową, jako ochronę od nieszczęścia i talizman broniący niegdyś ojców naszych przed dzikiem zwierzęciem, dawniej i dziś przed złym człowiekiem i od pioruna, gradu, ognia, powodzi.

Wieczorem opowiadał nam zwykłe ojciec bajki o czarownicach, o zaklętej księżniczce i o sowizdrzale, który Niemcom rozliczne figle płatał. W świątecznym tym jednak dniu na bok poszły bajki i plotki, w które żadne z dzieci nie wierzyło. Miejsce ich zajęła legenda o gromnicy.

— Dawno to było, dawno, gdy jeden chłop wracał z poświęconą woskową świecą do domu. A do domu miał opętane trzy mile. Droga szła lasem, a potem pustem polem, pokrytem białą płachtą śniegową. Na około ani człowieka, ani chaty ludzkiej, lecz pole a za niem daleko, daleko czarny bór. Broczy chłop w śniegu, wtem... patrzy... czy to tysiące świec pod borem zabłysło? Włosy stanęły mu dębem na głowie, bo zaraz zmiarkował, że to nie świece, lecz stado wilków, świecących ślepiami o blasku strasznym, zielonym. Całe stado, zgodniałe widać, pędzi wprost na niego, a on nawet uciekać nie może, bo nogi toną po kolana w głębokim śniegu. Już o kilkanaście kroków odległy posąg przydrożny, przedstawiający Najświętszą Pannę Łaskawą. Ostatkiem sił przypadł do figury i krzyknął: „*Matko, ratuj!*“ Ale nawet własnego głosu nie słyszał, bo stado wilków otoczyło figurę, wyjąc z głodu i pokazujac straszliwe zęby, które, mimo ciemności, z paszczęk im błyszczały. Już niema ratunku, już niema



Ziemia Ognista. — Misya salezyańska na wyspie Dawson.

nadziei, pomyslał, gdy... patrzy a tu gwiazdy, które na żelaznym drucie otaczały głowę Maryi, zaczynają płonąć ogniem... Jedna zapala się po drugiej, płoną... świecą... takim pięknym, jaśniejącym blaskiem, jakim się pali różowa i złota gwiazdka zaranna, gdy rolnik z pługiem na pole rusza.

Oczy chłopu w słup stanęły i drżał na całem ciele, i zęby mu dzwonić zaczęły, ale to nie było już uczucie strachu... tylko jakiejś ogromnej, bezbrzeznej miłości. Bo patrzy... Najświętsza Panienka z twarzą tak łaskawą, jak ta, Która cuda czyni na Jasnej Górze, Która paralityków dźwiga, nędzarzy obdarza, konające dzieci do zdrowia wraca, Pocieszycielka utrapionych, schodzi ze stopni posągu... Wzięła z rąk chłopa gromnicę, zapaliła ją od gwiazdy, która nad jej czołem płonie i rzekła: „*Chodź!*"

Szedł chłop za Matką a wilki, straszliwie wyjąc, czepiały się białej sukmany, która jednak ślizgała się im w paszczękach, jakby była ze szkła. I szło polem, i szło lasem Wspomożenie Wiernych, a za niem szło po śniegu światło gromnicy, a za niem chłop, a za nim wściekła czerń wilków, wyjących z głodu.

Przyszedł do domu, schował gromnicę za obrazek Częstochowskiej i upadł na twarz...

***

Ile razy burza nadciągała, ta która w środku „*żółto gradem świeci*", zapalał ojciec mój gromnicę na stole, a matka chodziła naokoło domu, dzwoniąc dzwonkiem loretańskim. I jakoś zawsze ochronił Bóg biedny nasz domek od pioruna, a nasze pole od gradu.

Nie zapomnę do śmierci tej chwili, gdy przy ojcu moim stała figura Chrystusa na krzyżu i gromnica płonąca żółtym, jaskrawym blaskiem. Gromnica się dopalała a ojciec... konał.

Człowiek ma w życiu chwile jasnowidzenia. Wtedy widziałem, że tylko ziemskie światła gasną i że to światło, które Bóg w człowieku zapalił, dusza ludzka, żyć wiecznie będzie, nie umrze. Szczęśliwy ten, czyja dusza paliła się, jak gromnica, tylko na cześć Boga a pożytek ludziom. Szczęśliwy ten, który, jak moj ojciec, kona z gromnicą w ręku, bo w jego ręku płonie świadectwo przed Bogiem: Oto za życia nie odstąpiłem na chwilę od wiary w Ciebie, więc i Ty teraz nie opuścisz mnie w straszliwej godzinie.

***

Ludzie żądają czegoś więcej, niż to co nauka i doświadczenie ludzkie dać może; ludzkość woła: „*Gdyby nie było Boga, trzebaby było Go stworzyć.*"

Nie krzyczcie tedy na nas, żeśmy obskuranci, że tamujemy postęp wiedzy, podkopując jego powagę. To nieprawda! My chcemy i pragniemy wiedzy, byleby ona nie odpowiadała z pewnością siebie na pytania, na które rozum ludzki odpowiedzi dać nie może. Gdy rozszerzacie wiedzę ludzką, analizujecie składniki gwiazd, gdy obliczacie odległość planet, gdy studyujecie, wtedy mamy dla was szacunek, uznanie a nawet cześć. Nie wyrokujcie jednak rozumem o tem, co będzie za grobem.

Ludzkość znowu chwyta się stóp Krzyża... i na nowo wierzy w moc poświęconej gromnicy.

L. Stasiak.



PIERWSZA WYSTAWA

prac uczni szkół salezyańskich dla przemysłu rękodzielnego i rolniczego.

(*Ciąg dalszy*).

Jest zasługą ks. prezesa, że na czele komisyi badających przedmioty wystawy, stanęli najsłynniejsi turyńscy artyści i przemysłowcy, jako to **kawaler Alojzy Moriondo,** *dyrektor turyńskiego Towarzystwa drukarsko-wydawniczego,* **kawaler Józef Vigliardi-Paravia,** i **p. Dalmazzo Gianoglio;**

kawaler Józef Pacchiotti, *introligator książek królowej włoskiej;*

kawaler prof. Wiktor Raffignone, *członek paryskiej akademii wynalazków i kierownik turyńskich szkół dla krojów krawieckich* i t. d.;

p. Aleksy Secondo i syn Jan, *szewcy księcia Aosty;*

prof. Garibaldo Marinari, *rysownik i rzeźbiarz w szkołach św. Karola odznaczonych nagrodą na wystawie paryskiej;*

p. Jan Massoglio, *mistrz snycerski w zakładzie młodych rzemieślników;*

kawaler Jan Ribaldone, *agronom.*

Komisye przystąpiły zaraz do akuratnego i szczegołowego badania pojedynczych prac, kierując się tymi względami:

1) Uważać warsztaty za szkoły podzielone na kilka kursów, w których systematycznemi ćwiczeniami tworzą się rzemieślnicy w swym fachu rozumnie biegli; zatem oceniać głównie porządek i stopień wykształcenia poszczególnych kursów a następnie cały zbiór prac wchodzących w zakres pewnego rzemiosła.

2) Jeżeli warsztat tej klasyfikacyi swych wyrobów nie przeprowadził, uwzględniać tylko zalety i wady cechujące ogół prac.

3) Osądzić lecz wykluczyć z konkursu prace nie wychowanków lub nie w ostatniem trzyleciu wykonane.

Charakter prywatny wystawy, która nie miała być tyle obrachowaniem i pomnikiem przeszłości, ile nauką na przyszłość, był racyą, że domom biorącym udział w wystawie nie rozdzielano żadnych dyplomów i medalów: poczucie spełnionego obowiązku i świecenia dobrym przykładem, pochwała i słowo mądrej rady komisyi bezinteresownej i dla swej wytworczości przemysłowej otaczanej powszechnym szacunkiem — to satysfakcya niewinna i pełna.

I SEKCYA.

Ze względu na ilość prac wystawionych i na ich wartość, zajął pierwsze miejsce oddział drukarski, który przedstawiały domy salezyańskie w Turynie, w San Benigno, w Nizzy (Riviera francuska), w Medyolanie, w Nictheroyu (Brazylia), w Marsylii (Francya), w San Pier d'Arenie (Riviera włoska), w Parmie (Włochy), w Limie (Perù) i w Puebli (Meksyk).

Członkowie komisyi typograficznej, poczyniwszy wiele spostrzeżeń, zapisków i notatek, zredagowali następujący protokół:

„Znanem jest ogólnie, jak wielkie zamiłowanie żywił każdego czasu założyciel dzieł salezyańskich dla sztuki drukarskiej. W macierzyńskim domie na Valdocco jednym z pierwszych warsztatów ks. Bosko była mała szkółka typograficzna, która wnet rozrosła się w potężny i szeroko po świecie rozgałęziony dąb. Mając wzgląd na to, niżej podpisani członkowie komisyi dla sztuk graficznych i tym pokrewnych, przyjęli skwapliwie i z wdzięcznością zaszczytne zaproszenie na ocenę prac salezyańskich drukarń, na pierwszej ich wystawie. Teraźniejsi przełożeni Zgromadzenia ks. Bosko byli przekonani, że rozumne i stateczne starania ich Ojca, około wzrostu sztuki typograficznej, bez wątpienia przyniosą dobre owoce i liczyli na to, że wystawa będzie tego walnem potwierdzeniem. Teraz niżej podpisana komisya, zasadzając się na własnem ugruntowanem doświadczeniu, może potwierdzić, że nie zawiodła ich nadzieja.

Zważywszy bowiem, że tu ma się rzecz o pracach wykonanych przez młodzieńców najwyżej ośmnastoletnich, których życie musi być koniecznie podzielone między pracą fizyczną i umysłową potrzebną do wychowania rozumu i woli, nie byłoby rozumnem ani możebnem, wymagać samych dzieł z wszech stron artystycznie dojrzałych.

Biorąc się więc do pracy, jura konkursowa miała na uwadze cel i program wystawy, a szczególnie informacye odebrane od Przew. Prof. ks. Bertellego, który z taką miłością i kompetencyą kieruje postępem salezyańskich szkół rzemieślniczych

... Na polu zasługi jest pierwszą główna szkoła drukarska księży Salezyanów, istniejąca w Oratoryum Św. Franciszka Salezego w Turynie, która wystawiła rzeczy nader interesujące, tak pod względem typograficznym, jako też pod względem wydawnictwa. Kto nie zna nadzwyczajnej potęgi pracy słynnego zakładu drukarskiego w Turynie, temu wystarczy wspomnieć, że ten zakład w ciągu 1898 r. zadosyćuczynił około 1000 zamówieniom, odbijając w całości 7,630,814 arkuszów druku, a z urzędowych obliczeń wynika, że w trzech latach, od roku 1898 do 1890, wykonał około 3000 zleceń, pokrywając drukiem 23 milionów arkuszów. W tak wielkiej względnie produkcyi główne miejsce zajmują *Wiadomości Salezyańskie*, które się ogłaszają miesięcznie w sześciu językach, w 2,652,000 egzemplarzach rocznie.

Prace wystawione, okazałe dla swej liczby i ważności a cenne ze względów wychowawczych, naukowych i literackich, nie są mniej zajmujące ze strony typograficznej. We wszystkich można zauważyć wzorową robotę zecerską, artystyczne uporządkowanie i składanie pojedynczych kolumn i jak najlepszą korektę — cechy tem szacowniejsze, iż większa część dzieł wydanych obejmuje dysertacye w przedmiocie filozoficznym, traktaty teologii, klasyków łacińskich i greckich, gramatyki hebrajskie, wykłady algebry i t. d.

Prawda, że do niektórych z dawniejszych wydań wkradło się kilka niedokładności w umieszczaniu i oddzielaniu nagłówków, między którymi znachodzą się takie, które są odpowiednio niedobrane, niezastosowane. Lecz z przeciwnej strony za wielką zaletę poczytujemy fakt, że podobne wady zostały z późniejszych wydań doszczętnie wyeliminowane.

Za pracę godną szczególniejszej wzmianki uważamy Mszał Rzymski tak doskonale ułożony, tak wspaniale drukowany, tak rozsądnie upiękniony wielkiemi literami początkowemi, ozdobami i winietami, że wyrównać może sławnym mszałom z wydawnictwa kaw. Pusteta w Ratyzbonie. Widzieliśmy też bardzo udatne okładki z chromu, dyplomy nagrodowe bardzo sympatycznie drukowane i podziwialiśmy nader piękne chromodruki i niektóre prace w stylu kwiatonowym, godne pochwały, lub nieco przeładowane ozdobami. Druk wogóle jest staranny a w niektórych książkach przewyższa wszelkie pochwały.

Jura, oceniając turyńską szkołę drukarską, myśli podnieść zasługi jej zacnego administratora Salezyanina Andrzeja Pelazzy, który od lat kilku z wielką siłą umysłu i ogromnym zasobem dobrej chęci kieruje całą skomplikowaną maszyną typograficzną, obejmującą oddział zecerów, introligatornię, steryotypię i lejarnię czcionek.

W dalszym ciągu zasługuje na ogólne uznanie szkoła drukarska w San Benigno i szkoła typograficzna w Nizzy, które z turyńską stanowią zakłady pierwszego rzędu. Drukarnię w San Benigno oklaskujemy przedewszystkiem dla niektórych prac wykonanych nader wystawnie dla wydawcy Clausen. Innemi dziełami tejże szkoły, w których nie tylko nie da się wyłowić najdrobniejsza nieprawidlność, ale w których nadto wszystko dostraja się pięknie do doskonałej całości, są również, *Illustrowany Katechizm*, do którego użyto steryotypii, *Dziewięć Nabożeństw* do Najśw. Serca Jezusowego, książeczka bardzo śliczna i ozdobna w nadzwyczaj udane trychomie, i *Figurine per Album* (obrazeczki do zbioru) upoetyzowane udatnymi światłodrukami. Wobec wszystkich tych dzieł sztuka drukarska stoi cicha, zadumiona, zadowolona z swego postępu.

Drukarnia w Nizzy nie sympatyzuje z młodzieńczą animozyą i werwą lekkiej ornamentacyi, która ze zdrową miernością przekrada się na prace dwóch wyżej wymienionych szkół, lecz wydała jednak dzieła, których poprawność wystrzela daleko po za granice wszelkich możliwych przypuszczeń. Książka *L'Œuvre de Don Bosco* stanowi literalnie perłę sztuki. Stronice są ujęte w ramy o zdumiewająco rozmaitych ozdobach, na tle ślicznie powikłanej sieci. Znaczenie artystyczne tej książki zaciera bardzo dobrze pewien anachronizm zawarty w tem obramowaniu stronic. *Souvenir d'un beau jour*, a przed innemi *Pensées filiales* w czysto klasycznym stylu, wyróżniają się, jako okazy doskonałej roboty drukarskiej.

Prace dokonane w drukarni domu salezyańskiego w Medyolanie, zalecają się szczęśliwym doborem czcionek i ozdób, oraz gustownem spajaniem farb w wydaniach luksusowych.

Cechą drukarni w Nietheroju jest pewna jednolitość kierunku technicznego, przez którą jednak nie bywa tamowany przystęp do samych szczytów postępu. Chwały godnemi są *Lecturas Catholicas* pomimo pewnej wadliwości na okładce, i wspaniały *Ramalhete Patriottico* z stronicami przyjemnie objętemi bogatem obramowanien polichromicznem. Jura ma tę pracę za kwiat dobrego smaku i dokładnego odbicia, godny nagrody szczególnie dla bardzo ożywionych i graficznie doskonałych światłodruków.

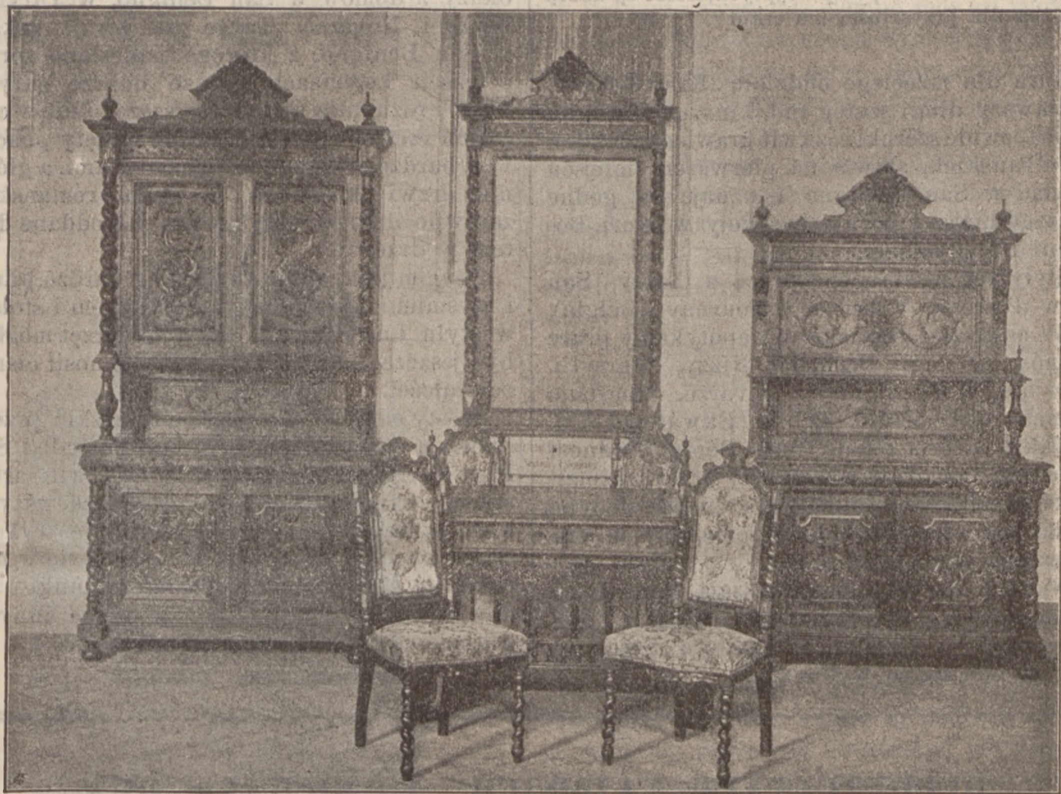
Marsylia wystawiła prace godne drukarni pierwszorzędnej. *Emilie de Vialar* jest niemal arcydziełem. Robota zecerska jest bez zarzutu, druk bardzo pilny i według reguł sztuki; między miarami brzegów, marginesów i nagłówków panuje wzorowy stosunek. Jakiś szeroko rozlany zmysł harmonijnej równowagi i bardzo gustownie dobrane farby wynoszą inne drobne prace, częścią drukarskie, częścią litograficzne, na wysoki szczebel doskonałości.

Liczne okazy z drukarni w San Pier d'Arena, mianowicie w rodzaju okolicznościowym, należą do liczby artystycznych, dla sztucznego i zgodnego zespolenia różnych stylów ozdobowych i dla smagłej techniki.

Na pracach drukarń w Parmie i Puebli odbija się wyraźnie, że wielka biegłość personalu musi walczyć z brakiem przyrządów, które mechanika

w ostatnich czasach na usługę typografii oddała, a bez których drukarnia może należeć najwyżej do pracowni drugiej linii. Lima i Puebla mają zadowalniające okazy litografii. Niektóre prace na tle czarnem i na chromie z Puebli należą do wyskoków sztuki. W tych trzech ostatnich szkołach robi wrażenie to, że pomimo złej jakości maszyn, zdołano się zdobyć najniespodziewanicj na bardzo wiele . . "

pomimo że zewnętrzna okładka wydaje się nieco ociężała z powodu masywnej wypukłej rzeźby, i pomimo że we wewnętrznej pozłocie dobrze napięta uwaga może dostrzedz kilka mikroskopijnych wad. Nad podziw zachwycająca jest delikatna i wyborna robota sztycharska, na której rylec wyrył piękne widoki i miniatury wzięte z ornamentacyi stronic. Śliczna jest również *Fabiola* w pergaminowej powłoce z ozdobami i ty-



Wystawa we Valsalice. — Meble pokojowe, wykonane w Oratoryum Salezyańskiem w Turynie.

Po ocenieniu wszystkich prac komisya obwarowała przyszły dalszy postęp naszych drukarni takiemi radami i wskazówkami, jakich tylko najszczersza życzliwość może być źródłem.

Drugi oddział „introligatorstwo" miał przedstawicieli w pracach ośmiu domów. Oto zdanie komisyi:

„Na szczególniejszą wzmiankę zasługują introligatornie w San Benigno i Turynie. Pierwsza nadesłała bardzo liczny i urozmaicony zbiór opraw zbytkowych, szkolnych, liturgicznych i bibliotycznych. Powtórna oprawa *Biblii Doré* zasługuje na szczególniejsze słowo pochwały. Jest to bowiem praca wielkiej akuratności, wykonana z natężoną cierpliwością i wywołująca dobry efekt, tułami w złocie i różnych kolorach. Bardzo efektowny, doskonale obmyślony i wykończony jest zbiór medalów, którymi zostały odznaczone pracownie domu: pozłocenie na cielęcej skórce, mimo wielkich trudności, wykonano bardzo starannie.

Introligatornia turyńskiego zakładu wystawiła kilka praktycznych powtórnych opraw książek modlitewnych i liturgicznych, z dobrą pozłotą i wyrytowanymi kilkukolorowymi rysunkami. Nie można też pominąć ślicznych opraw pugilaresowych i powtórnych opraw nagrodowych w powłoce płóciennej, z wzorową ornamentyką w złocie i farbach. Wogóle zszywanie, wytworność i wytrzymałość są chwalebne.

Oglądając dokładność i ścisłość dwóch powtórnych opraw dokonanych w Nizzy, żałować nam przychodzi, że nie możemy podziwić innych prac ważniejszych tej szkoły bardzo rozwiniętej.

Dom w San Pier d'Arena nadesłał dobre książki do nabożeństwa i bibliotyczne: ma silną oprawę jednego rejestru i mistrzowskie prace kartonowe.

Dobrą oprawę mszału mamy z Parmy. Żałować tylko należy, że wewnętrzne pozłocenie nie zgadza się z gustowną robotą zewnętrzną.

Dom medyolański posiada bardzo effektowny zbiór rysunków krawieckich.

Zakłady w Mari (Szwajcarya) i Puebli wystawiły prace uczniów początkujących, które są dobrą wróżbą dla przyszłości ich szkół".

Jura dla trzeciego oddziału „Krawiectwo", spisawszy długi szereg rad, których praktyka ma zapewnić szeroki rozkwit krawieckich szkół salezyańskich, stawia na pierwszem miejscu zakład w San Benigno i uznaje za godne szczególniejszej pochwały szkoły w Muri, Bononii i Medyolanie.

Były też wystawione prace z Nizzy, San Pier d'Arena, Valsalice i Tournay (Belgia).

W oddziale „szewskim" napotykamy prace domów w San Benigno, Nizzy, Marsylii, Turynie, Muri, Bolonii, Novarze, Mogliano Veneto, Medyolanie, Quito (Ekwator) i t. d.

Także w tym dziale San Benigno odnosi pierwszą pochwałę dla dobrej pracy, rozmaitości wyrobów i dokładnego kroju. Jedyną wadą jest niepewność linii pionowej w kamaszkach dla panów i pań.

Nizza i Marsylia przewyższają inne domy dobrą formą, dokładnem zakończeniem i proporcyonalnym krojem: niektóre prace są bardzo elegancko wykonane.

Turyn posiada bardzo rozmaite i dobre wyroby, któreby należały do rzędu doskonałych, gdyby większą baczność zwracano na proporcyonalność formy.

Obuwie z Muri uwzględnia potrzeby północy; wytworny i nowożytny jest kształt wyrobów bonońskich, a bardzo silne są prace wszystkich innych domów.

W piątym oddziale „stolarstwo" widzimy okazy z domów w San Benigno, w Turynie, Nizzy i Novarze. Także tu góruje zakład w San Benigno, z którego nadesłano sprzęt o trzech korpusach, bardzo dobrze odrysowany i rozumnie wykonany, szczególnie w częściach rzeźbionych; różne inne sprzęty pokojowe z bardzo właściwymi ornamentami, a głównie drzwi kościelne w stylu romańskim zarówno dobrze wyrysowane jak oddane dłótem w drzewie.

Drugim jest zakład turyński z bardzo pilnie i wyśmienicie zrobionym garniturem i stołem w stylu Ludwika XV, który to sprzęt mógłby być jeszcze cenniejsze, gdyby nie nosił cienia ociężałości.

Szósty oddział „kowalsko-ślusarski" przedstawiają domy w San Benigno, Turynie i San Pier d'Arena. Można podziwiać dwie artystyczne kraty z San Benigno. Przedewszystkiem mniejsza jest bardzo starannie wykończona na dobrym rysunku: spajają się w niej rozmaite style ozdobowe. Dobre rysunki i zadowalniająca robota cechują prace innych zakładów.

(*Dokończenie nastąpi*).

REPREZENTANT NAJPRZEW. X. MICHAŁA RUA
w Ameryce.

(Pokłosie z listów X. Calogero GUSMANO).

(*Ciąg dalszy*).

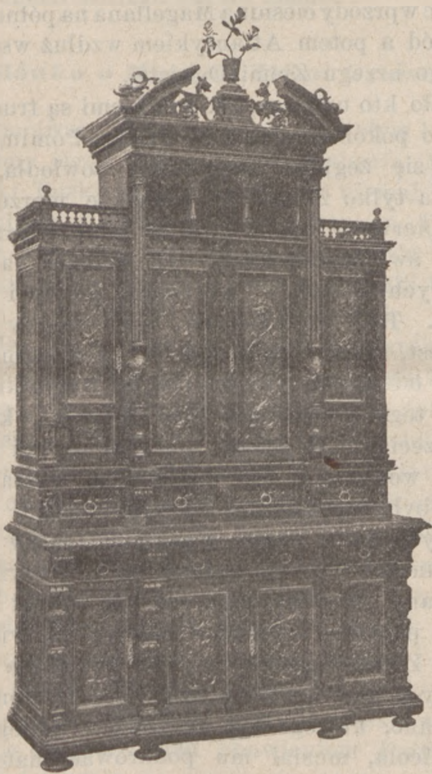
Na wyspie Dawson.

Ojeżdamy z Puntarenas wieczorem 11 lutego. W porcie oczekuje nas mały statek parowy, w którym gromadzą się towary, zwierzęta i ludzie. Na ostatnich miano ten wzgląd, że im dano przestrogę, by się bacznie strzegli trąceń i kąszeń z strony mniej wychowanych towarzyszów podróży.

Po tej wstępnej scenie nastąpiła noc, z której wyszliśmy okrutnie zdruzgotani. Rozszalała straszna burza: dzikie bałwany, ku wielkiemu wszystkich przerażeniu, pokrywały nas od czasu do czasu morzem wody. Kto znajdował się na pokładzie, porywał za pierwszą lepszą linę lub za rogi najbliższego wołu: każdy stał przed samym sobą w niepewności, co chwila ktoś obłapiał drugiego, by nie runąć na podłogę. Wszyscy oczekiwali w silnem napięciu albo pogody albo przynajmniej

lnia, bo to kołysanie się w nocnych ciemnościach i ta walka zachowawcza w tak trudnych warunkach, grały bardzo drażniąco na nerwach, zdejmowały zgrozą i sprowadzały ostateczne zasłabnięcie. Ale jazdy przynaglić nie szło, bo statek stał przed bałwanami jakby bezsilny, zdawał się wahać przed wodą i wiatrem, i zostawiał nas własnemu losowi, czyli raczej na łasce Bożej.

Znacznie się tedy zmieniło, gdyśmy po piętnastu godzinach, pomimo trudności oryentowania się, wpłynęli z rozsierdzonych fluktów do malowniczej zatoki Harros, na której brzegu wybudowano naszą misyę św. Rafała.



Wystawa we Valsalice.
Praca wykonana w *San Benigno*.

Na równi wodnej panuje cisza, powietrze ciepłe usuwa rozstrój nerwowy, piękny widok pagórków otaczajacych misyę zajmuje podróżnych.

O cichym wieczorze, nim spadł mrok, przedłużony i leniwy świat statkowy zwiastował wyspie przybycie zastępcy ks. Rua. Natychmiast spostrzeżono na brzegu nadzwyczajny ruch, niezwykłą agitacyę i życie: pojawiają się chorągwie, długi rząd chłopców posuwa się ku zatoce a stąd i owąd nadbiega na brzeg zdyszany Indyanin. Dwie łodzie odbijają od lądu... po przyśpieszonem wiosłowaniu poznać, że jadących pali niecierpliwość. Wreszcie są przy statku: dyrektor misyi już jest na pokładzie, całuje ręce ks. Albery i wita go czule imieniem współbraci i Indyan. Z brzegu tymczasem dolatuje odgłos bicia rąk i wiwatów; wyraźnie widać, jak Indyanie wyciągają ciemne ręce ku morzu i słychać, z jakiem uczuciem wymawiają imiona drogie każdemu sercu salezyańskiemu. Ks. Albera z wzruszenia płacze rzewnemi łzami...

Wyspa Dawson obejmuje 133,000 klm.² i jest pokryta gęstymi lasami liczącymi przeszło 20,000,000 drzew. Rząd chilijski wydzierżawił ją Salezyanom na 20 lat, aby tam mogli cywilizować Indyan, których jest blisko 500.

W początkach misya ta wydawała się bańką mydlaną, która za pierwszym powiewem prysnie. Ale przemknęły prędko lata a misya nie tylko nie uległa rozbiciu i nie tylko nie zamiera, chociaż nieustannie ściera się z niedostatecznością środków, ale objawia się tak silną, że zdołała dzikim Indyanom narzucić cugle chrześcijańskiej cywilizacyi i zmienić do niepoznania całą wyspę.

Każda familia tubylcza ma osobną chatkę. Kobiety umieją już w swym czasie przygotować obiad i wieczerzę: wdowy żyją wspólnie. Wszystkie niewiasty zajęte są podczas dnia w wielkiej pracowni kierowanej od Sióstr Najśw. Panny, Wspomożycielki Wiernych. Kollegium Sióstr mieści 54 dziewcząt, zakład salezyański ma 80 chłopców. Mężczyźni mają różne zajęcia. Niektórzy oddają się rybołowstwu, inni chodowli zwierząt, mianowicie owiec, któremi się żywią; wielu poświęca się osuszaniu bagien i moczar, oraniu utworzonych polanek, budowaniu dróg i kolei drewnianej.

Monsgr. Fagnano sprowadził piłę za 120,000 franków. Ścięte drzewa bywają koleją przewożone do piły, gdzie rzną z nich deski. Niektórych aż lęk brał, że Salezyanie nie używają do tej pracy ludzi doświadczonych, lecz Indyan, którzy niechętnie pełzają u stóp pracodawcy i do roboty czują pewną odrazę. Z uśmiechem pobłażania tłómaczyli księdzu Fagnano, że on wyciąga na światło dzienne czystą mrzonkę i że daleko rozumniej byłoby

**

zaprowadzić do tego tartaka mocne siły świata cywilizowanego. Ci dobroduszni panowie dali przez to poznać że wcale nie pojmują ideału ks. Fagnano i jego towarzyszy. Nasi księża nie zasklepiają się w egoiźmie, w interesownem uprzemysłowieniu wyspy. Oni nie ronią suchej łzy nad życiem koczowniczem krajowców na to, aby ostatnie krople siły z nich wyssać, ani nie rozdzierają szat nad ich nędzą po to, by naładowawszy skarby ich ziemi na okręt, przewieść takowe do will europejskich. Oswoić te biedne istoty z pracą uczciwą, rozumną a potrzebną, zaprzyjaźnić je z spółżyciem cywilnem, pchnąć na tory sztuki i postepu, naprowadzić na drogę katolicyzmu i odsłonić zachmurzone niebo — to jest cel kapłanów katolickich. Wobec tego niczem jest ta okoliczność, że Indyanie więcej psują niż zarabiają, niczem są znoje podjęte, by zwyciężyć ich wrodzony wstręt do pracy, niczem fakt, że trudno im się nauczyć zasad wiary i społeczności, niczem jest owa, wiecznie w ich umyśle tkwiąca, idea wszelkiej niezawisłości. Przed kilkunastu laty żaden z nich nie marzył o kołdrach, ubiorach i szkarpetkach, któremi ich obecnie własne żony pokrywają, o domkach i wygodach, które im za własną pracę przypadły w udziale. O! jakże ich to uszlachetnia i podnosi z wiekowego poniżenia. Wielkiem nieszczęściem jest, że ostry klimat nie pozwala na dobrą uprawę roli.

Ich postęp wykazuje się jak na dłoni, gdy w niedzielę na znak dzwonka wszyscy, bez wyjątku, gromadzą się w wiejskim kościołku, meżczyźni z jednej strony, niewiasty z drugiej, i chwalą Boga Zbawiciela. Właśnie w niedzielę miesopustną, kiedy tylu chrześcijan cywilizowanych szaleje po ulicach, po domach zabawy i teatrach, znieważając swego Stworzyciela, na wyspie Dawson ks. Albera rozdzielał setce Indyan komunię św. i przemawiał do nich słowami żywota wiecznego. Nie jest to widok wzruszający serce chrześcijańskie? Cmentarz tej wyspy zawiera w sobie parę set Indyan, ale wszyscy umarli po chrześcijańsku; opowiadają się o nich rzeczy budujące.

Szczep ten niezawodnie wyginie dla wojen umyślnie dla ich wytępienia prowadzonych i dla chorób przyniesionych od Europejczyków. Głownym atoli jadem zatruwającym życie tutejszej ludności, że taki przestrach przed wrogami i wojskiem rządowem, że prawie wszyscy dostawają zepsutej krwi i wymierają na gruźlicę.

Trudność wylądowania na Ziemię Ognistą.

Naprzeciw wyspy Dawson rozpościera się Ziemia Ognista. Przybiliśmy do niej po trzygodzinnej żegludze, lecz aby dotrzeć do naszej misyi Matki Boskiej Gromnicznej (*Candelara*), położonej blizko przylądku Sunday, na przeciwnym boku wyspy, drogą lądową puszczać się nie można, bo jest niebezpieczna i niepodobna do przebycia. Musieliśmy więc jechać wprzódy cieśniną Magellana na północny wschód a potem Atlantykiem wzdłuż wschodniego brzegu Ziemi Ognistej.

Mało kto uwierzy, jak wielkiemi są trudności do pokonania na tem morzu. Pomimo że nam się żegluga szczęśliwie powiodła, bo trwała tylko 27 godzin, jednakże morze po raz pierwszy nie pozwoliło nam odprawić Mszy św. Zmuszeniśmy byli siedzieć na kajutowych łóżkach z zawrotami głowy i niemocą. Tu, w Ameryce, nie wiedzą ani co post, ale kto podróżuje w tych stronach pości od miesa, ryby, chleba, od wszystkiego. Jest tego świadkiem mój żołądek, który w przeciągu 36 godzin nie widział ani kropelki wody. A z tem wszystkiem nasza podróż była wyśmienita. Siostry bowiem, które były przed nami wyjechały, zajęły dni siedmnaście. Nowy parostatek argentyński, nazwany *Fueghino*, mało co nie utonął: jedyny pasażer, inspektor policyi na wielką część Ziemi Ognistej, stracił wszystkie swe rzeczy a nawet własne łóżko, tak iż Monsgr. Fagnano, którego był uczniem w kollegium S. Nicola, musiał mu podarować materac, kołdry i t. d. Ten pan opowiadał nam, że podróżował wielu morzami, bo zna wpoprzek Antlantyk i Ocean Spokojny, ale nigdy nie spotkał się z takiemi burzami. „Nieprawdaż“, zapytywał się kapitana naszego statku, „że od wielu lat nie widziano podobnych burz?“ A kapitan, by go ucieszyć, rzekł: „Politowaniaś pan godny!“ Naiwny inspektor nie wiedział, że to, co jemu wydawało się nadzwyczajnem, było tutaj rzeczą codzienną i zwykłą. W zatoce Polikarpa pewien parowiec francuski, mający 120 m. długości, ugrząZł w piasku i nie można go ruszyć. Właściciel chce

ustąpić sześć dziesiątych części towarów temu, coby mu je uratował.

W tych okolicach telegrafu i poczty wcale nie ma: kto chce otrzymywać listy, musi od tej wygody płacić podatek. Trudność wylądowania na te brzegi jest achillesową piętą Ziemi Ognistej, w której wskutek tego panuje ustawiczna drożyzna. Ileż razy Monsgr. Fagnano był zmuszony płacić za najęty statek po 1000 franków dziennie, a potem nie mógł wyłożyć na brzeg zapasów, które był sprowadził! Pewnego razu znajdowało się na pomoście towaru za 100,000 franków a przeniesiono na brzeg bardzo mało, bo kapitan nie chciał zbliżyć się do ziemi.

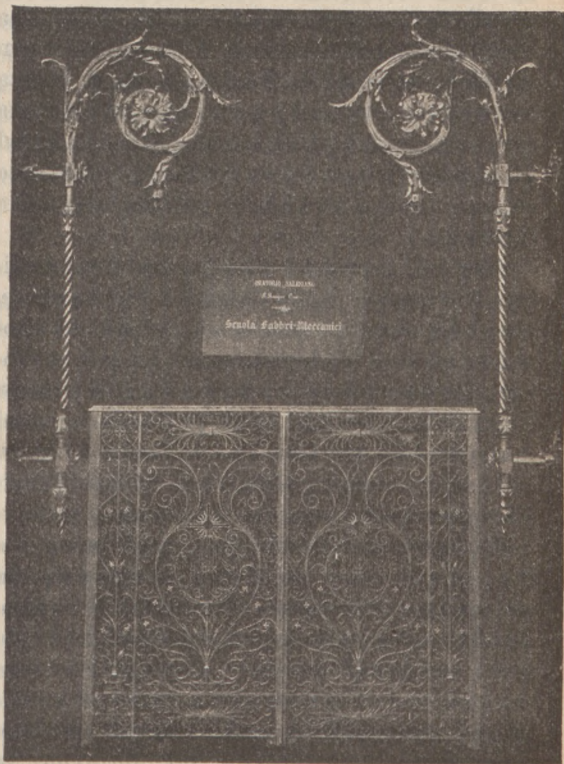
Słówko o Misyi na Ziemi Ognistej.

Stanąwszy w końcu stopą na stałym lądzie, szliśmy jeszcze 10 kilometrów ziemią. Misya Matki Boskiej Gromnicznej jest niemal kopią misyi św. Rafała na wyspie Dawson. Po bokach kościołka stoi zakład salezyański i dom Sióstr Najśw. Panny, Wspomożycielki Wiernych, a wokoło 60 chat indyańskich.

Cała osada obejmuje 20,000 hektarów ziemi. Na szerokich pastwiskach pasają się liczne stada owiec, które służą Indyanom za pokarm. Dwieście kilogramów mięsa bywa codziennie przez nich spożywane a każdy kosztuje dziennie co najmniej jednego dukata. Jakież więc kwoty nie pochłania ta misya! Tylko nadzwyczajna odwaga i żywa wiara w Opatrzność może podtrzymywać ks. Fagnano w takiem przedsięwzięciu. Gdy liczne trudności łączą się w nieprzerwany, zawarty szereg i oblegają misyę i drażnią wszystkich do żywego, Monsignore odczytuje listy ks. Bosko, zachęcające do pracy nad zbawieniem Patagonii i Ognistej (1).

Indyanie w misyi mieszkający należą do dwóch szczepów, różniących się obyczajami, rysami twarzy i językiem. Cały obszar Ziemi Ognistej zaludniają *Onas* czyli *Indyanie piesi*, którzy się prawdopodobnie wywodzą od Patagończyków, bo zbliżają się do nich postawą i mową. Zupełna ich nieświadomość żeglugi naprowadza na wniosek, że ta wyspa musiała już być zamieszkaną, kiedy była jeszcze złączona z stałym lądem, czyli nim się cieśnina Magellana utworzyła.

Na wyspie Dawson i po brzegach mniejszych wysp archipelagu żyją Indyanie *Alaculufes*, wykwintni żeglarze i rybołowcy. *Alaculufes* są zwykle posępni i ponurzy: *Onas* są większego wzrostu, żwawi, przyjemni i czuli. Podczas dłuższego między nimi pobytu stwierdziłem, że nieprawdą jest, co niektórzy pod pierwszem wrażeniem o tych ludziach w artykułach i książkach rozpisywali. Jużci nie mają tutejsi mieszkańcy pociągającej, gładkiej powierzchowności ani urodnej krasy, ale starannie i czysto wychowani wyglądają przyjemnie. Pulchnością ciała i miękkością skóry mogliby nawet zbudzić zazdrość w zniewieściałych Europejczykach. Może też zwykły podróżny Indyanina, w jego właściwej barwie, nigdy nie widział, bo oni swą kasztanowatą i do czerwonego nachyloną



Wystawa we Valsalice.
Kratka wykonana w *San Benigno.*

---

(1) Ks. Bosko znał tak dokładnie Ziemię Ognistą, blizki archipelag i Patagonię, że w salonie Towarzystwa Geograficznego w Lyonie miał nader bogaty w wiadomości odczyt o tych ziemiach i zyskał sobie zań złoty medal.

skorę malują krwią i innemi farbami. Czarne i sterczące włosy golą sobie ostrzem kamienia, na sposób Dominikanów: pozostająca korona rośnie tak długa i dzika, że czyni ich podobnych do zwierząt. Brody ich są albo krótkie albo wcale się nie ostoją przed paznokciami rąk. Również brwi bywają u wszystkich doszczętnie wyrywane.

Siła ich wzroku jest wprost nieporównana, mowiono mi bowiem, że oni dostrzegają takie przedmioty, które my ledwo przy pomocy silnych soczewek dojrzeć możemy. Bo i sam sposób życia naprowadza ich na drogę, na której można daleko zajść z udoskonaleniem zmysłów, szczególnie słuchu i wzroku. Muszą bezustannie zwracać baczne oko na zjawiska przyrody i ciągle mieć się na baczności przed nieprzyjaciółmi, których kroki, choćby bardzo dalekie, umieją wyśledzić, przykładając ucho do ziemi.

Zato ich charakter jest bardzo nieszczęśliwy. Nie sięgają myślą dalej, jak za swą chatę, nie znają szlachetnych uczuć, są niepohamowanie skłonni do lenistwa, nic ich nie zaskoczy, nie doznawają gwałtownych przewrotów duszy, nie objawiają chęci poznania nowości i samowolnie nie rwą się do żadnej rzeczy, chociażby poznali jej korzyści. Jakieś olbrzymie niedołęstwo ogarnia ich duszę i ciało.

W części nie ich to wina, gdyż sama natura sprzyja temu ospalstwu, dostarczając im podostatkiem żywności. Po odpływie morza, zostaje w piasku brzegów ogromna ilość ryb, które wystarczy zbierać i gotować. Pewnego razu szedłem w takiej porze przez pół godziny po drobnych rybach, których miliony stają się pastwą ptaków tak licznych, że zaćmiewają słońce, zrywając sie do lotu.

Najłatwiejszem zadaniem architektonicznem jest zapewne zbudowanie domu tych Indyan. Piętnaście albo dwadzieścia żerdzi wbitych do ziemi, związanych w górze i pokrytych skórami, taki jest typ chaty, którą o kilka metrów przenoszą, gdy z powodu zanieczyszczenia staje się nieznośną.

Ich ubiór jest nadzwyczaj prosty i polega na skórze zawieszonej na biodrach. Reszta ciała przedstawia się w najróżniejszych barwach nakształt kolorowej mapy. Trafiają się Indyanie z czarną twarzą a bielutenkiem ciałem, lub odwrotnie. Szczep *Onas* lgnie głównie do czerwonej farby, to też trudno znaleść Indyanina z tego plemienia, któryby nie miał co najmniej nóg lub twarzy szkarłatnych. Wogóle kolor czerwony jest symbolem radości, biały znakiem wojny, czarny smutku. Jeżeli w jakiej rodzinie zagnieździ się smutek, naonczas jej członkowie ranią sobie w okrutny sposób własne nogi.

Polując (szczególnie na *guanaka*), używają łuku napiętego cięciwą sprawioną z nerwów albo *guanaka* albo psa morskiego. Z tych łuków miotają 80^{cio} centymetrowe strzały z lekkiego drzewa, nieco grubsze w środku, opatrzone z przodu ostrem szkłem a z drugiego końca piórem . . .

Pisząc o tych krajach, nie mogę puścić w niepamięć męża, kapłana, który był ich cywilizatorem. Już inni przemówili przed światem o jego zasługach, bo Ojciec św. mianował go monsignorem i prefektem apostolskim Patagonii południowej, Ziemi Ognistej i wysp falklandzkich, a rządy argentyński i chilijski mianowały największe jezioro na Ziemi Ognistej, od jego nazwiska, *Fagnano.* Z mej strony dorzucę tylko jedno słówko, że nikt nie zliczy, ile razy w swem 25 letniem apostolstwie mierzył się z śmiercią, ile razy domierał z niedostatków, ile razy mróz mu tamował oddech i wiązał członki, ile razy runął na ziemię z głodu i pragnienia, ile razy gnił w więzieniu, ile razy, jako rozbitek, topił się na morzu. Znalazł się w najciekawszych zdarzeniach i pełnił z niezłamaną miłością najniższe urzędy i usługi. Argentyna, Patagonia, archipelag Ziemi Ognistej, Chili i Perù zapamietają prace ks. Fagnano, który jest jakoby olbrzymiem ogniwem złotego łańcucha, którym Bóg ludy do siebie pociąga. Słyszałem z ust jego niesłychane epizody, ale z jego rozkazu muszę o nich milczeć . . .

Najpowolniejszy sługa ks. redaktora

X. C. Gusmano.



Na pokładzie statku *Ladario*, 22 kwietnia 1901.

Dłuższy pobyt na Ziemi Ognistej pomieszał cały plan naszej podróży, gdyśmy bowiem przybyli do Montevideo, doniesiono nam, że od pięciu dni był wyjechał do Cujabà statek, na którym mieliśmy zająć miejsce. Nim zawinął drugi okręt, podążyliśmy do *Mercedes Oriental*, gdzie księża Salezyanie mają kwitnące kollegium. Ich gorliwość wszakże nie

skupia się w murach zakładu ani w zakresie małej wioski, lecz wytryska na całą okolicę i pokrywa jej liczne potrzeby duchowne. Ludzka natura nie zgodziłaby się na tutejszą pracę kapłańską, która jest ciągła, mozolna a przytem niewdzięczna, ukryta i nieokazała: ale chwała Boża ma zawsze swych zwolenników i nieustraszonych działaczy.

Usilne prośby ks. Guerry ściągnęły nas potem do jego zakładu w *Paysandù*. Miasto to jest zbudowane na zielonej pochyłości pagórków *Cuchillade-Haedo*, na lewem brzegu rzeki *Uruguaj*, w odległości 40 mil od stolicy. Ulice niemal wszystkie proste, regularne i równe, są okolicznością sprzyjającą przemysłowi. Rzeka *Uruguaj*, długa 1400 klm., a szeroka w niektórych miejscach 10, jest naturalną drogą do wnętrza kraju i stanowi jeden z najważniejszych portów rzeczypospolitej. Statki z całego świata i rozmaitych rozmiarów płyną ta rzeką, jeżeli tylko nie mają wielkiego zanurzenia: *Triton* i *Paris*, na których podróżowaliśmy, miały 80-90 metrów długości.



Ojciec Św. Leon XIII.

Pasterstwo i handel ożywiają tutejszą ludność: z *Paysandù* ruszają okręty przeładowane wełną, skórami i mięsem solonem, a w rórnych *saloderos* idą rocznie pod rzezak setki tysięcy owiec.

Ludność nosi cechy nowożytnej organizacyi i nie ma żadnej wybitniejszej charakterystyki. Najważniejszą budowlą jest kościół, nie dla jakichś zalet architektonicznych, ale dlatego, że inne zabudowania są jeszcze gorsze. Wznosi się na najwyższej części stoku pagórskiego, w kształcie łacińskiego krzyża. Jest długi 50 m., szeroki 18 i dzieli się na trzy nawy: ale ma formę ociężałą i tak grube filary, że zasłaniają ołtarz i nawy pobocze. Wygląda raczej na zamek i za takowy służył w roku 1846 i 1865. Jeszcze dzis dostrzedz można znaki ostatniego bombardowania, w którem *Paysandù* odznaczyło się taką walecznością, że okryło się sławą i zjednało sobie nazwę *Bohaterskiego.*

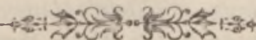
W marcu 1881 r. zawitali tam pierwsi Salezyanie. Miasto liczyło wówczas 12 tysięcy mieszkańców i miało tylko jeden kościół: dziś istnieją dwie parafie a ludność ustawicznie się wzmaga i to w sposób nader szybki. W czasie nabożeństw wielkiego tygodnia kościoły były napełnione po brzegi; ks. Albera był raz w jednym, raz w drugim. Niekiedy siedzieliśmy siedm godzin bez przerwy w konfesyonale a w Wielki Czwartek ks. Albera rozdzielał przez pół godziny komunię św.

Od lat dwudziestu księża Salezyanie są jedynymi kapłanami w mieście, więc im są powierzone parafie, szpital, kollegium i kaplica świąteczna. Parafia jest tak obszerna, iż nieraz trzeba odbyć kilkudniową konną jazdę, by udzielić konającemu osadnikowi ostatnich sakramentów. Duch religijności i liczne powołania duchowne i zakonne bardzo pięknie świadczą o pracy naszych współbraci. Także Siostry Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, otworzyły kollegium i kaplicę świąteczną dla dziewcząt.

Za dwie godziny przybijemy do *Corrientes*, gdzie kilku podróżnych wysiędzie: tam zamierzam oddać niniejszy list. Innych wiadomości udzielę z Mato Grosso, w którym staniemy dopiero 22 lub 24 dniach żeglugi.

Oddany w Chrystusie Panu

X. Calogero Gusmano.



MISYE SALEZYAŃSKIE

W puszczach Wikaryatu Apostolskiego Mendez i Gualaquiza (Rzplta Ekwator).

(Z listu ks. FRANCISZKA MATTANY).

NAJPRZEWIELEBNIEJSZY OJCZE!

CHWAŁA BOGU! Nareszcie spełniło się jedno z najgorętszych moich życzeń, to jest, wycieczka apostolska do wschodniego Wikaryatu Ekwatoru. Żądza złota pchnęła już bardzo wielu awanturników w te okolice. Niejeden nieustraszony turzysta szukał swej chwały na dnie tych bystrych rzek i na stromych górach, spotykając się z drapieżnemi zwierzętami, zaczepiając dzikich Indyan, narażając się bezmyślnie na śmierć. Tylko kapłan, któremu była powierzona cywilizacya tego wikaryatu, zwracał się często do tych krajów, wzdychał do nich, słał w ich stronę ciepło swego serca, ale przedrzeć się do nich nie mógł. Wreszcie myśl, że czas nie stoi, lata idą, a kto wie co mam przed sobą, przerwała wahania i pasowanie się z myślą. Przyszły mi do głowy postacie naszych bohaterskich misyonarzy, z nimi pokrzepienie ducha i postanowienie wyruszyć 4 grudnia w podróż. Teraz, gdy wszystkie członki zwieszają się bezsilnie po mozolnej jeździe i pracy, opisuję Najprzew. Ojcu klimat, urodzajność, rzeki i t. d. środka naszego Wikaryatu, gdzie założymy miasto, jako punkt środkowy naszych misyi.

Napad dzikich zwierząt. — Przygoda z brodą. — W objęciu ciernistka. — Małpy. — Biały wąż. — W Indanzie.

Wyruszyłem z kilku braciszkami i miałem też przy boku niektórych Indyan, tłómaczów. Minąwszy *Inambachi*, wetknąłem za pas dobry rewolwer i długi nóż, aby mieć jaką taką broń na wypadek spotkania się z takimi napastnikami, jak tygrys, niedźwiedź i t. p. Następnie ucałowałem krucyfiks i zacząłem się wdrapywać na wzgórze, wznoszące się na północnym zachodzie od Gualaquizy, w kierunku rzeki Jumaza. Późnym wieczorem rozbiliśmy namioty pod obrzymiem drzewem, zwanem w języku Iwarosów *hombo*, spożyliśmy wesoło wieczerzę i położyli do snu.

Około jedenastej w nocy zrywam się na głośne szczekanie wiernego psa *cholo* i słyszę, że Indyanie krzyczą w niebogłosy: *Cuidado, cuidado, Padre Francisco, muchos tigres y osos aquí viniendo, todos nosotros matando, comiendo, queriendo...*, to znaczy, *Ojcze Franciszku, wiele tygrysów i niedźwiedzi zbliżając się do nas. One nas wszystkich zabijając, pożerając.* Napróżno im tłómaczyłem, że Najśw. Panna Marya, Wspomożycielka Wiernych nas strzeże; napróżno ich uspakajałem. Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą, trzeba było przystąpić do obrony. Poleciłem wszystko Niebieskiej Opiekunce, a potem kazałem jednym strzelać, drugim rozniecać jak najliczniejsze ognie,

zaś Iwarosom zleciłem krzyczeć przeraźliwie. Wnet też tygrysy zaczęły się rozpraszać w ciemnościach, a my mogliśmy znowu zasnąć, zostawiwszy wprzódy jednego braciszka na straży. Pomimo tej ostrożności, krótko po północy, budzi mię jakiś szelest koło mego namiotu. Przetarłszy oczy, podnoszę głowę, i o zgrozo! o dwa metry odemnie spostrzegam okropnego tygrysa. Chwytam za rewolwer, ale drapieżny zwierz, usłyszawszy szmer, już był pod osłoną ciemnego lasu. Gdy rozedniało, odprawiłem mszę św. i udaliśmy się w dalszą podróż. Dotarliśmy na szczyt góry *Saquea*, odwróciliśmy jeszcze raz oczy ku cudnej dolinie gualaquizkiej, potem utkwiliśmy wzrok w malowniczych puszczach nad rzeką *Colaglrós* i ku nim popędziliśmy cwałem.

Przejeżdżając mimo kilku drzew śliwowych, zaplątałem sobie tak moją po pas brodę w ich kolcach, ze koń pobiegł dalej a ja wisiałem zawieszony na własnej brodzie. Nie było innego sposobu, jak tylko przeciąć najprędzej nożem brodę i podzielić się nią ze zazdrosną śliwą. Aby zaś uchronić przynajmniej to, co pozostało, obwinęłem resztę koło karku i dalej galopem.

Zaledwo kilkaset kroków ujechałem, spostrzegam niespodzianie przed sobą przepaść, w którą już toczył się mój koń. Nie tracąc przytomności umysłu, chwyciłem się kolczystego drzewa rosnącego nad głębią i uratowałem się, odniósłszy ręce na wskróś przebite cierniami.

Pod wieczór stanęliśmy na brzegu rzeki *Rombois*, która płynie ku północy i wpada w *Calaglrósa*. Tutaj Indyanie ofiarowali nam swą *cziczię*, którą trzeba było z grzeczności przyjąć. Było jej atoli tak wiele, że napiwszy się do woli, wylałem resztę w rzekę. Przestraszyli się tym czynem Indyanie i rzekli mi zaraz: *Padre Francisco, chicha rio no botando, porque chicha rio botando mucho lloviendo haciendo*, to znaczy, *Ojcze Franciszku, nie wylewając cziczię do rzeki, bo wylewając cziczię do rzeki, wielki deszcz sprawiając,* i przybliżywszy się lali cziczię na brzeg, prosząc *taitę* Boga, by nie zesłał deszczu. Co za przesądy i ciemnota nawet między Indyanami, którzy dłuższy czas z nami przeżyli!

Następnego dnia, idąc zawsze brzegiem rzeki *Rombois*, dochodzimy w południe do drugiego szczytu góry *Saquea*, który Ivarosowie zwią *Ensacua*, i zatrzymujemy się kilka chwil, by napoić zwrok ślicznym widokiem wschodnich lasów. Ledwośmy jednak skierowali konie ku rzece *Cumbossa*, spostrzegamy przed nami kilkanaście tygrysów. Mieliśmy tyle czasu, by rozwinąć gęsty ogień z rewolwerów i strzelb, co popłoszyło i odpędziło drapieżne zwierzęta. Tuż nad brzegiem *Cumbossy* zetknęliśmy się z drugiem stadem tygrysów i znowu kilka wystrzałów z broni



Wystawa we Valsalice.
Drzwi wykonane w *San Benigno*.

palnej i ujadanie wiernego *cholo* zmusiły napastników do odwrotu.

Około drugiej po południu przeprawiamy się przez *Cumbossę* i napotykamy na drugim brzegu krocie małp, które skakają po gałęziach, jakby po ziemi. Na ich widok nasi Indyanie nie mogli się powstrzymać. Więc z ich łuków posypały się liczne strzały, które, przeszywszy na wylot wystraszone małpy, często tak silnie takowe do gałęzi przybijały, iż trzeba było ścinać całe drzewo, by je dostać. Na brzegu *Cumbossy* rozpięliśmy namioty. Indyanie wzięli się zaraz do ubitych małp, których mięso piekli na ogniu i zjadali

z taką żarłocznością, że ogryzane kości trzaskały w ich szczękach. Niejeden darwinista byłby się nad tym losem swych pradziadów rozpłakał...

W nocy spadł ulewny deszcz, więc rzeka tak wezbrała, że prawie niepodobieństwem było nazajutrz przepłynąć przezeń. Gdy najśmielsi zaczęli tracić ducha, wypadało mi dać im przykład. Rzuciłem się więc w nurty i zaraz usłyszałem plusk naśladujących mnie towarzyszy i przerywane słowa Indyan: *Ah! vos Taita Padre Francisco mucho valor habiendo, mucho nadando sabiendo, mucho rio grande pasando, bien sabiendo, vos miedo no teniendo, otros cristianos miedo habiendo está*, t. j. *Oh! wy Ojcze Franciszku, mając wiele odwagi, umiejąc bardzo dobrze pływając, bardzo szeroką rzekę przebywając, wy bojaźni nie znając, inni chrześcijanie bardzo się bojąc.*

Zawitał dzień 8 grudnia, dzień Niepokalanego Poczęcia Panny Maryi, dzień tak dalece drogi każdemu Salezyaninowi. Nie mogły mi być obce ich uczucia. Owszem widząc się w środku nieprzebytych lasów, słysząc trele ptasząt i ryk drapieżnych zwierząt, doznałem jeszcze głębszego wzruszenia. Spowiadałem siedząc na puiu, i odśpiewałem mszę św. w tej dzikiej krainie. Jej aniołowie napewno wtorowali aniołom niebieskim śpiewając *Gloria in excelsis*, gdyż dokonująca się ofiara mszy św. i wielki krzyż, potem na tem miejscu ustawiony, były znakiem do boju z wszechwładną jeszcze naonczas potęgą piekła, przepowiednią i zadatkiem zwycięztwa. Z dalekich lasów dzikie plemiona widziały może wznoszący się na górze krzyż i marzyły o jakichś dziwnych rzeczach i prosiły *taitę* Boga, by się nie gniewał, ale owszem zesłał dni szczęśliwe...

Już byliśmy na wierzchołku góry *Guamquiza*, gdy nagle Indyanie zaczęli krzyczeć przerażającym głosem i pierzchać na wszystkie strony. Oglądając sie, by zdać sobie sprawę z przyczyny tego popłochu, spostrzegłem całkiem białego węża, długości przeszło jednego metra. Jego jadowitość jest tak potężna, iż Indyanie wyobrażają sobie, jakoby on ogonem kąsał. Tegoż dnia stanęliśmy jeszcze na szczytach gór *Magzongu*, *Landendasa* i *Moalminty*, na którym witali nas Indyanie z *Indanzy*, wrzeszcząc na całe gardło: *Ah! Padre Francisco, a vos mucho queriendo todos Jivaros está. Nosotros Indanza mucho vos esperando y vos mucho tardando*, t. j. *Ach! Ojcze Franciszku!. wszyscy tutejsi Ivarosowie was bardzo oczekując. Nasza Indanza was bardzo się spodziewając, a wy bardzo się spóźniając.* Uniesieni radością pili, hałasowali, tańczyli i śpiewali, ofiarując nam jaja, *ynca* (trufle amerykańkie), owoce z *ptatano* i *cziczię*. Przeszedłszy jeszcze górę *Colcuménche* i *Calcumpide* stajemy w *Indanzie* Ludność wyłącznie indyańska przyjmuje nas z wielką radością. Na katechizacyi, na chrzczeniu, opiece nad Indyanami i na badaniu prowincyi *Indanzy*, jej klimatu, mieszkańców, zwyczajów, flory (świat roślinny) i fauny (świat zwierzęcy) i t. d., zeszło nam dni kilkanaście.



Byli wychowankowie zebrani w kollegium salezyańskiem w Balernie (Szwajcarya).

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





Obłóczyny nowicyuszów.— Z *Lombriasco* (**Włochy**) pisze nampewien drogi przyjaciel obszerny list, który dla braku miejsca podajemy w streszczeniu. „Już od kilku tygodni było gwarno i głośno w dalekiej naszej ojczyźnie Polsce, z powodu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia... Serce biło radością, iż niezadługo zawita ta oczekiwana noc pokoju i ciszy, pełna tajemniczego uroku, noc, która zdaje się być zwiastunką nowego życia, nowych czynów i nadziei szczególnie dla udręczonego i zbolałego nowymi ciosami narodu. Nikt lub mało kto wiedział o tem, iż właśnie w tym czasie, we włoskiej krainie, kilku rodaków sposobiło się do obchodu święta, które dla nich zdawało się być na równi w świetności i uroczystości ze świętem Bożego Narodzenia.

Od dawna już był wyznaczony dzień 19 grudnia na obchód uroczystych obłóczyn. Kilka dni przed tem spostrzedz można było w zakładzie nadzwyczajny ruch, który dobitnie wykazywał, z jaką gorliwością i z jakim zapałem się brano do przygotowań na przyjęcie ks. Rua i obchodu tak upragnionego święta. W samą wigilię uroczystości mieliśmy wiele uciechy z metamorfozy, jaka zaszła pomiędzy nami. Młodzieńcy w kwiecie wieku, którzy się szczycili ze sążnistych wąsów lub nawet zarostu brody, naraz pozbyli się tej ozdoby mężczyzny i wymłodnieli do niepoznania.

Wybiła wreszcie godzina 4ta — z daleka było słychać świst pociągu, który miał nam przywieść ukochanego ojca, ks. Rua. Ożywiony zakład naraz został opuszczony, wszyscy pobiegli przed bramę, aby powitać dostojnego gościa. Z początku dał się słyszeć jakiś szmer pomiędzy nami, który się ożywiał ze zbliżaniem się pociągu, a ustał zupełnie, gdy pociąg stanął przed bramą. Stała się cisza — oczy z wytężeniem szukały ks. Rua — zdało się, iż wszystkim dech zamarł na ustach — naraz „Jest! jest!“ dało się słyszeć z cicha, później głośniej, coraz głośniej ... Ks. Rua tymczasem zbliżał się zwolna do bramy. Jakby na komendę wyrwało się wszystkim z piersi jednogłośne „*Vivat! Vivat!*“, nastąpiły oklaski, okrzyki radości bez końca. Wśród tych żywych objawów radości, posadzono ks. Rua na krześle. Chciał się opierać świątobliwy staruszek, lecz cóż mógł uczynić przeciw sile czterech „herkulesów“, którzy w jednej chwili podnieśli krzesło w górę, niosąc go w tryumfalnym pochodzie ku zakładowi?

Wniesiono wreszcie ukochanego Ojca do sali umyślnie przygotowanej na powitanie. Jeden z nowicyuszów wystąpił z mową powitalną, w której wyrażał naszą radość i przedstawił w jasnych kalorach uczucia serc naszych, które w tej chwili były złączone w solidarnej jedności. Ks. Rua odpowiedział na powitanie, wyrażając swe zadowolenie z tak znacznej liczby tych, którzy mieli otrzymać sutannę. W końcu swego przemówienia wzniósł okrzyk na cześć dyrektora zakładu, ks. Tirone, który swą prawdziwie mrówczą pracą i zabiegami dla dobra naszego, zaskarbił sobie wdzięczność i miłość naszą. Po tym nastąpił drugi okrzyk na cześć ks. Magistra nowicyuszów, który cały się poświęcił dla nas i ustawicznie nad tem pracuje, aby z serc naszych zbudować godny przybytek Pański.

... Udaliśmy się na spoczynek — serce było niespokojne, jakieś dziwne wrażenie opanowało całą osobę — trudno było zasnąć. Któż może sobie wystawić, jak śliczne musiały być sny nowicyuszów? To „*jutro*“ osiadło się na dobre w myśli — ono zdawało się wśrod tej strasznej poniekąd i ponurej ciemności, jak jaka piękność z „**tysiąca i jednej nocy**“.

Zaraz z rana odprawił ks. Rua Mszę św., podczas której wszyscy bez wyjątku przyjęli komunię św. W czasie drugiej Mszy św. celebrowanej o 9 1/2 przez czcigodnego ks. Terrone, dyrektora za-

kładu w Penango, nowicyusze odśpiewali Mszę gregoryańską **Missa Regia**, której doskonałem wykonaniem wszyscy się budowali i zachwyceni byli. Że mamy w naszym zakładzie tak doskonały śpiew, który podług twierdzenia znawców, może służyć innym szkołom za wzór, mamy do zawdzięczenia wiel. ks. Grosso, który swą przeszło dwudziestoletnią pracą na polu muzyki we Francyi odniósł wielkie zasługi szczególnie w pielęgnowaniu śpiewu gregoryańskiego.

Po ukończeniu Mszy św. zaintonowano **Veni Creator**. Śpiew wzniósł się ku niebu, duch popłynął przed tron Najwyższego i stało się coś tak wzniosłego, tak głębokiego i niezrozumiałego z nami, iż opisać tego absolutnie nie jestem w stanie. Zaledwo ukończono hymn, ks. Rua, w asyście wielu księży, zasiadł przy ołtarzu, odprawił ceremonie, poświęcił nas i suknie, a w końcu wyrzekł to tak ważne **Exuat**. Zdało się, że na to słowo piekło zadrżało a anieli w niebie zanucili śpiew radości! W porządku, jeden po drugim przystępowaliśmy do ołtarza, gdzie dostojny nasz ks. Generał, wręczając każdemu z osobna suknię, wymawiał te słowa: **Induat te Dominus novum hominem.** Po ubraniu się, ruszyliśmy w pochodzie procesyonalnym do kościoła, w którym rozbrzmiewał na nasze powitanie śpiew hymnu **Magnificat.** Był to pochód wspaniały, uroczysty, pochód, którego nie zapomnę nigdy w życiu. Skorośmy przybyli do świątyni, ks. Rua, witając nas jako nowych kleryków, zaczął wykładać dobitnemi słowy znaczenie naszej nowej dewizy. Po tej nauce wyśliśmy na dziedziniec. Oh! ileż życzeń, ile spojrzeń, wskazujących, co się w sercu działo! Ileż wyrażeń wzajemnych wielkiego zadowolenia!

Podczas obiadu wygłoszono w różnych językach mowy już to na cześć ks. Rua, już na cześć nowych kleryków. Jeden z ośmiu nowo obleczonych kleryków polskich dziękował Generałowi za opiekę, jaką otacza nieszczęśliwą młodzież polską, za sympatye, jakie żywi dla naszego kraju a w końcu i za dowód miłości, jaki dał w ostatnim czasie w Oświęcimiu. „*Ty Ojcze*, tak głosił mowca, *przyjmujesz nas ośmiu pod sztandar Twego Poprzednika, przybierasz nas w szeregi bojowników Chrystusa i przywracasz wydarte przemocą prawo kształcenia się i uświęcenia we własnej ziemi. Oh! zaiste można powiedzieć o Tobie, iż dałeś całe serce w ofierze dla nas i naszego narodu. My za serce oddajemy serce, za miłość, miłość, i przyrzekamy, iż pójdziemy wiernie w ślady czynów i zamiarów, w których sobie wytknęłeś cel wielki, wspaniały i szlachetny, bo cel ulżenia przygnębionemu narodowi...*"

Ks. Rua po ukończeniu obiadu raczył odpowiedzieć i dał wobec wszystkich najchwalebniejsze świadectwo o Polsce i Polakach. **Nie mógł się nachwalić pobożności i szczerości serca oraz głębokiego przywiązania naszych rodaków do wiary katolickiej** a w końcu wyraził życzenie, aby ta nasza garstka wzrosła potężnie i sprowadziła wielu synów nieszczęśliwej ojczyzny naszej pod sztandar ks. Bosko.

Niestety krótko po obiedzie był zmuszony nasz ukochany Ojciec nas opuścić. Odjechał, nic go nie mogło wstrzymać — odjechał lecz zostawił nam swe serce i niezatarte wrażenia dnia najpiękniejszego w życiu, wspólnie przeżytego. Oby Bóg udzielić mu raczył jeszcze długiego życia i pozwolił mu przeprowadzić wszystkie plany i zamiary, jakie nosi w serca dla ulżenia doli naszej młodzieży..."

kl. Leon.

Przywilej nadany naszemu kollegium w Cachoeira do Campo (Brazylia). — Ks. Dominik Albanello donosi: „20 marca Prezydent Rzpltej brazylijskiej podpisał dekret, na mocy którego tutejsze gimnazyum i szkoła rolnicza zaliczone zostały do rządowych i nadane im zostały wszelkie prerogatywy, któremi cieszą się szkoły rządowe. Dlatego egzamina, świadectwa i dyplomy wydane w naszem kollegium będą odtąd miały pełną moc i znaczenie przed władzą cywilną. Jest to wielka łaska P. Boga, bo większe zastępy biednej młodzieży garnąć się będą do naszego zakładu, rolnictwo się podniesie i szerszemu kołu Brazylijczyków udzielana będzie nauka wiary i cnoty."

Rzplta San Salvador a Salezyanie. — Dyrektor naszego doma w *Santa Tecla* (*San Salvador*) nadesłał nam następujące wieści: „Nim zakończył się rok 1901, mieliśmy szczęście rozpocząć budowę kaplicy na cześć Najśw. Maryi P., Wspomożenia Wiernych. Przy poświęceniu kamienia węgielnego był obecny przezydent Rzpltej z żoną. Budowa postępuje dzięki ofiarności naszej wielkiej dobrodziejki Beatrice de Estaves, która postanowiła wznieść tę kapliczkę, aby jej Królowa Niebios i ks. Bosko zgotowali jakie skromne miejsce w niebie.

Ciągle napotykamy na niedwuznaczne dowody entuzyazmu i sympatyi tutejszej Rzpltej dla naszych dzieł. Ta przychylność objawia się na zewnątrz nie tylko życzeniem i grzecznem słówkiem, ale nawet czynami, gdyż jeden pan nam ofiaruje dom, drugi gotowy zakład, znowu rząd chce nam powierzyć obszar ziemi na osadę rolniczą, biskup chce oddać kościół. W stolicy darowano nam dwa place pod przyszłe zakłady, ale dotychczas otworzyliśmy prowizorycznie tylko dwie kaplice świąteczne.

Zeszłego roku żona prezydenta Rzpltej ślubowała zbudować kościół na cześć Najśw. Wspomożycielki Wiernych, jeżeli od Niej otrzyma pewną łaskę. Niebieskiej Patronce upodobała się po-

bożność dostojnej pani i łaska użyczona jej została. Kiedy prezydentowa, chcąc spełnić ślub, szukała odpowiedniego miejsca pod nowy kościół, inna zacna pomocnica salezyańska ofiarowała jej samowolnie na ten cel swą willę, położoną na pięknym pagórku, na którym panuje ustawiczna wiosna. Prezydent zatwierdził i poparł projekt,a ks. biskup go pobłogosławił. 29 stycznia poświęcimy kamień węgielny pod kościół Najśw. Wspomożycielki Wiernych, a willa zamieniona zostanie na kollegium salezyańskie.''

Nowa kaplica świąteczna w Salamance (Hiszpania). — ,,W niedzielę, 17 listopada z. r. otworzono uroczyście w tem mieście kaplicę świąteczną. Wieść o tem, co miało w tym dniu zajść, obiegła z telegraficzną szybkością całe miasto i poruszyła szczególnie młodzież tak mocno, że już o godzinie 7 rano przeszło 150 chłopców oblegało drzwi kaplicy. Po Mszy św., której wysłuchali z wielką pobożnością, oddawali się z właściwym swemu wiekowi zapałem najróżniejszym zabawom. Na katechizm wieczorny zbiegło ich się już więcej niż 200. Przy wyjściu życzyli sobie nawzajem, by jak najrychlej mógł minąć tydzień, dzielący ich od następnej niedzieli . . .''

Mały Słownik fugińsko-hiszpański. — Argentyński dziennik *El Tiempo* (*Buenos Aires*) pisze: ,,Misyonarz salezyański ks. Józef Marya Beauvoir, po długim pobycie na Ziemi Ognistej i przyległych wyspach, gdzie z wielkiem poświęceniem oddaje się szerzeniu cywilizacyi chrześcijańskiej, wydał słownik języków tamtejszych szczepów. Chociaż autor w krótkiej przemowie oświadcza, iż cała jego praca polega na zebraniu i spisaniu wyrazów słyszanych od Indyan, na misyach salezyańskich w terrytoryum Ziemi Ognistej i na wyspie Dawson, wszakże każdy uznać musi, iż jego dzieło ma niezaprzeczenie wysokie znaczenie filologiczne i stanowi zasadniczy punkt wyjścia w badaniach południowo-amerykańskiej filologii.

Ludność Ziemi Ognistej i archipelagu, licząc obecnie koło 2000 dusz, da się sprowadzić do trzech odrębnych szczepów:

1) **Ona**-s, którzy zamieszkują wybrzeże północne Zeimi Ognistej od **Cieśniny Magellana** do przylądku **św. Pawła**, wybrzeże wschodnie od Atlantyku do **Bahia Inutile** (*zatoka niepotrzebna*) i cały środek wyspy. Jest ich prawie tysiąc;

2) **Yahgan**-es, zaludniający południowe wybrzeże Ziemi Ognistej nad kanałem **Beagle** i wszystkie wyspy południowe aż do przylądku **Hornos**. Ten szczep składa się może z 500 osób; i

3) **Alakuf**-es, którzy zamieszkują drobne a gęste wyspy zachodnie i żeglują krętymi kanałami i odnogami Oceanu Spokojnego. Liczba tych Indyan jest najniższa.

Te trzy szczepy, które się nienawidzą i tępią nawzajem, mówią językami tak różnymi, że nie mogą się porozumieć. Dlatego właśnie słownik porównawczy tych trzech języków budzi szczególniejszy interes. Jest to zapewne jedno z najciekawszych zjawisk lingwistycznych ,ta odmienność dźwięku i głosu, którymi wyrażają się jedne i te same rzeczy, u ludów do siebie podobnych i ościennych.

Fueghini noszą na sobie wszystkie cechi ludzi zwyrodniałych, przygniecionych niedołęstwem i lenistwem a zbliżonych sposobem życia i uobyczajeniem do zwierząt. Najgrubsza ciemnota otacza ich stępiałe umysły, nie mają przed sobą żadnych celów i o tyle się ruszają, o ile tego wymagają główne potrzeby życia. Tylko **Onas** należą do wyjątku, są wysokiego wzrostu, pięknej i silnej budowy ciała, przyjacielskiego i towarzyskiego usposobienia. Sława ludożerców, którą ich powieściopisarze i patronowie niewolnictwa okryli, nie ma faktycznej podstawy.

Księża Salezyanie pełnią w krańcowem terrytoryum Ziemi Ognistej wysoką misyę miłości i postępu. Prócz tego, słownik ks. Beauvoir jest wielką usługą oddaną filologii, jest olbrzymim krokiem na drodze postępu i może początkiem literatury fugińskiej''.

Kościół św. Karola w Almagro. — Nieznużony ks. Józef Vespignani, przełożony nad salezyańskim inspektoratem w Argentynie, rozpoczął w Almagro (Buenos-Aires) z apostolskim zapałem budowę nowego kościoła, który ma być hołdem, jaki Argentyna składa Zbawicielowi świata i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych. Projekt został pobłogosławiony przez Ojca św. Leona XIII, a poniżej przytaczamy aprobatę J. Ekscel. ks. Maryana Espinozy, arcybiskupa w Buenos-Aires.

,,*Ksiądz* **Doktor Maryan Antoni Espinoza** *z łaski Boga i Stolicy Apostolskiej arcybiskup Najświętszej Trójcy w Buenos-Aires.*

Ponieważ liczba wiernych uczęszczających na nabożeństwa do solezyańskiego kościoła parafialnego św. Karola w tej stolicy tak się podniosła, że świątynia napływającej ludności pomieścić nie może, więc już nasz poprzednik ś. p. ks. arcybiskup Castellano, 17 stycznia 1900 r. potwierdził i pochwalił myśl wybudowania kościoła obszerniejszego i odpowiadającego potrzebom i nieustającemu wzrostowi owej dzielnicy.

Przed rozpoczęciem robót poczytujemy sobie za obowiązek pobłogosławić i pochwalić to dzieło nie tylko sympatyczne ale też moralnie i materyalnie dla naszych ukochanych synów korzystne. Równocześnie dziękujemy Bogu, że doczekaliśmy tej pocie-

chy, by jeden z naszych kościołów parafialnych był argentyńskim hołdem narodowym, złożonym Chrystusowi, Zbawicielowi świata, i Maryi, Wspomożycielce Wiernych, by został ofiarowany, jako znak przywiazania synowskiego, Ojcu św. i od niego był łaskawie przyjęty.

Zalecamy tedy ten monument wiary i religijności chrześcijańskiej naszym drogim dyecezyanom i z ochotą przyjmujemy jego honorowe prezesostwo. W tych dniach, które kościół poświęca w szczególniejszy sposób duszom czyścowym, udzielamy odpustu 40 dni tym wszystkim, co ofiarując jałmużnę na nowy kościół, będą mieli na celu ulgę tychże dusz.

Na potwierdzenie powyższego wydajemy ten list pisany własnoręcznie w Buenos-Aires, stolicy Argentyńskiej Rzpltej, w Naszym palacu arcybiskupim, 29 września roku pańskiego 1901, z naszym własnym podpisem i z naszą pieczęcią arcybiskupią, wyciśniętą ręką naszego kanclerza.

✠ MARYAN ANTONI
Arcybiskup.

L. S.

Kan. EMANUEL ELAZANDIR
Kanclerz.

Najśw. Wspomożycielka Wiernych, która jest sprawczynią postępu naszych zakładów w Argentynie, wda się napewno także w sprawę tego nowego przedsięwzięcia i wykołacze na Sercu Syna, by wkrótce strzelająca pod obłoki wieża kościoła św. Karola była symbolem modlitw, które cała Rzplta zgromadzona u nóg Zbawiciela świata będzie zasyłała do tronu Króla królów o pomyślność, szczęście i pokój.

Pamiętna rocznica. — Jednym z najgłębszych pomysłów ks. Bosko było otoczyć się ludźmi zdolnymi, którzy by go potrafili zrozumieć i umieli być mu silną pomocą. Ks. biskup Cagliero należał bezwątpienia do tych ludzi, którzy się do ks. Bosko najwięcej zbliżyli i którym się w najobfitszej mierze duch jego udzielił. Wstąpiwszy przed pięćdziesięciu laty, t. j. w listopadzie 1851 r., do Oratoryum św. Franciszka w Turynie, przybrał ks. Bosko za swego Ojca i do niego przylgnął całem sercem. Dziś, w starości, przypomina sobie ten dzień, w którym Opatrzność przywiodła go do Oratoryum i zwie się szczęśliwym. A tę jego szczęśliwość dzielą tysiące dusz, którym on był apostołem i zbawieniem. Pięćdziesiąt lat temu ks. biskup Cagliero był uczniem ks. Bosko — dziś posunięty na Wikaryusza Apostolskiego i biskupa jest przełożonym 50 domów salezyańskich w Ameryce południowej. Pięćdziesiąt lat, jak ks. biskup Cagliero uczył się początków muzyki od ks. Bosko — dziś słynie jako kompozytor przeszło stu utworów kościelnych i salonowych. Pół wieku temu ks. biskup Cagliero brał udział w młodzieńczych zabawach na dziedzińcu ks. Bosko, dziś jeździ po patagońskich stepach, przechodzi niebotyczne Kordyliery i tylko żali się niekiedy, że się zestarzał i postradał nieco dawniejszej siły ciała.

Cuenca w Ekwatorze. — *Uroczystość Najśw. M. Panny Wspomożycielki.* — Z podziwienia godnem powodzeniem szerzy się nabożeństwo do naszej drogiej opiekunki. W naszym zakładzie w Cuenca odprawiono z wielką pobożnością miesiąc przygotowawczy do święta Maryi P. Wspomożycielki Wiernych, które było istnym sukcesem. Ponieważ dzień 24ty maja przypadał na dzień powszedni, nie spodziewano się licznego udziału wiernych, lecz potęga imienia Wspomożycielki zawstydziła naszą małoduszność. Wyjątkowa pogoda wpływała wabiąco na serca wiernych, tak iż już poprzedniego wieczora podczas uroczystych nieszporów i ogni sztucznych nieprzeliczone rzesze dawały świadectwo o swem ku Bogarodzicy nabożeństwie. Nazajutrz ks. kanonik Leon Piedra odprawił Mszę św. poranną i poświęcił obraz Wspomożycielki pędzla naszego pomocnika Filoroma Idroles. Wszyscy chcieli pocałować poświęcony obraz. — Sumę odprawił ks. Klodoweusz Rasqueri, rektor seminaryum a panegiryk wygłosił ks. Wincenty Asquilar. W tym dniu Wspomożycielka Wiernych zjednała sobie niejedno serce.



SŁOWO DO MŁODZIEŻY.

Piekło ma na ziemi swoich apostołów Człowiek zepsuty ciągnie bezwiednie lub dobrowolnie drugich w tę samą przepaść. Kto dobrowolnie to czyni, jest uwodzicielem, szatanem w ludzkiem ciele; kto zaś bezwiednie psuje drugich, jest nieszczęsnym, który truciznę, przepełniającą mu serce, roznosi dokoła.

Powinieneś zatem być bardzo ostrożnym w wyborze osób, którym się zwierzasz, a nawet tych, z któremi częściej przebywasz. „Złe mowy psują obyczaje“. O ileż więcej złe uczynki, zły przykład, życie rozwiozłe. Gdy

więc występek uchyla maski i pierwsze w twoim kierunku wypuszcza strzały, powinieneś wtedy wystąpić stanowczo, a nawet ostro.

Setki młodzieży padło, niestety, ofiarą złych przyjaciół! Nie podejrzywali z początku ani przypuszczali, że to parszywe owce, a otoż powoli własną duszę trądem zarazili i utracili świeżość, piękność i swododę. Lepiej żadnego nie mieć przyjaciela, niż mieć złego. Zły przyjaciel jest największym naszym wrogiem, jest niebezpieczniejszy dla duszy, niż rozbójnik i zabójca, jest szatanem wcielonym.

Czystość jest skarbem bez ceny, nie wpuszczaj więc do domu złodziejów. Czystość jest źródłem spokoju i pięknością duszy. Nie dozwalaj przybliżać się do siebie zabójcom, którzy z serca twego cmentarz uczynią, cmentarz pełen zgnilizny i smrodu.

Lecz i książki są przyjaciółmi złymi lub dobrymi, przynoszącymi zgubę lub pożytek, gorszycielami lub wybawcami; odpowiednio do tego, co zawierają, są dobrodziejami lub wrogami.

Bądźże więc ostrożnym, młodzieńcze, jak najostrożniejszym! Nie rzucaj pereł przed wieprze; owszem, strzeż ich z coraz to większą troskliwością. Z pereł tych ma kiedyś spleciona być dla ciebie korona w niebie.

Św. Grzegorz Nazyanzeński i św. Bazyli, później Wielkim nazwany, kształcili się jednocześnie w Atenach. Jakaż to święta była przyjaźń! Przyjaciele pobudzający się wzajemnie do cnoty, do czystości, do wytrwania w powołaniu świętem, są wzajemnie dla siebie aniołami stróżami. Ci zaś, co się w złem jednoczą, są sobie szatanami. „Dwie tylko drogi znaliśmy“, pisał później sam Grzegorz, „ulicę prowadzącą do kościoła i do sług Bożych, najświętsze tajemnice sprawiających i chlebem żywota posilających członki ciała Chrystusowego, i drugą ulicę, nie tak jednakże od nas cenioną, ulicę do szkół publicznych wiodącą i do tych, co wykładali nauki“. Stąd poszło, że czyste obyczaje tych dwóch młodych ludzi nie ucierpiały na zetknięciu się z rozpustną młodzieżą, do tej szkoły uczęszczającą, i że najzupełniej przyprowadzili do skutku zamiar, który ich przywiódł do Aten, to jest: nabycie wiedzy. Rozpasanie obyczajów stoi niezawodnie na zawadzie nabywaniu umiejętności, gdy przeciwnie skupienie, czystość a zwłaszcza pobożność, „do wszystkiego jest pożyteczną“, jak mówi Apostoł św.

—

Nie szafuj słowem: „przyjaciel“. Kto chce być twoim przyjacielem, ten niech najprzód złoży dowody, że nim być zasługuje, że posiada przymioty, jakich masz prawo wymagać: obyczajność, stateczność, czyste obyczaje. Jeżeli nie chce być przyjacielem pomagającym ci do Boga, to niech raczej ustąpi, i każdy z was niech idzie swoją drogą.

Krzyż nad Chmurami.

Na majestatycznym szczycie Gewontu, piętrzącego się prostopadłą ścianą nad „letnią stolicą Polski“, nad Zakopanem — stanął zeszłego roku olbrzymi krzyż żelazny—wzniesiony staraniem grona parafian i proboszcza zakopiańskiego.

Nie lada to było przedsięwzięcie wynieść na skaliste blanki Gewontu ciężkie sztaby metalu, stanowiące wiązanie krzyża — i umocować je tam, nad chmurami, na wysokości 1900 metrów, na skraju zawrotnej przepaści. Wielebny X. Proboszcz zakopiański tak nam opisuje dzieje fundacyi tego najwyższego w Polsce krzyża:

Mówiąc o jubileuszu „miłościwego lata“ wspomniałem moim parafianom, że we Włoszech na pamiątkę kończącego się starego i rozpoczynającego nowego stulecia postawiono kilkanaście żelaznych krzyżów na szczytach gór, między tymi nawet na Wezuwiuszu. Biorąc z tego assumpt, prosiło mnie kilkunastu najpoważniejszych górali, abym się zajął postawieniem podobnego krzyża na Gewoncie. Uczyniłem chętnie tej prośbie zadość i ogłosiłem z ambony ten zamiar, wzywając do składek, które też zaraz wpływać dość obficie poczęły. Znany zaszczytnie artystyczno-ślusarski zakład Goreckiego w Krakowie wykonał projekt krzyża, 12 metrów wysokiego. Chcąc się przekonać, czy krzyż taki będzie z Zakopanego widzialny, urządziłem z kilkunastu góralami i z tutejszym komisarzem klimatycznym P. Piątkiewiczem wycieczkę na Gewont w jesieni zeszłego roku celem ustawienia tamże na próbę krzyża drewnianego. Z ostatniego pod Gewontem szałasu zabraliśmy 2 długie żerdzie, które

górale z podziwienia godną zręcznością na szczyt wynieśli. Na szczycie zbiliśmy z tych żerdzi krzyż, a dla nadania mu większej szerokości poprzybijali do żerdzi w poprzek, w odstępach, deski na 1 metr długie. Tak zaimprowizowany krzyż ustawiliśmy w jamie w skale naprędce wybranej, 60 cm. głębokiej i obłożyli kamieniami dla lepszgo umocowania. Krzyż ten próbny miał $10^1/_2$ metra wysokości. Wróciwszy do Zakopanego, spostrzegliśmy z radością, że krzyż gołem okiem daje się widzieć, choć bardzo mały. Po dokonaniu tej próby poleciłem fabryce Goreckiego wykonać krzyż na 17 m. wysoki, z których dwa miały być wpuszczone do skały. Fabryka krzyż wykonała i koleją do Zakopanego przysłała, mniej więcej w 400 pojedynczych kawałkach. Mając krzyż na miejscu, zapowiedziałem moim parafianom wyprawę na Gewont i zachęciłem do pomocy w wyniesieniu krzyża. Dnia 3 lipca zebrali się też tutejsi górale w liczbie około 250 osób i 18 wozów przy kościele. Po Mszy św. wyruszyliśmy do Kuźnic, rozdzieliwszy żelazo na pojedyncze wozy, które też wywiozły je, dokąd się dało t. j. do tak zwanego „Piekiełka". Tu nastąpił podział. Wszyscy mieli co dźwigać, tem więcej że prócz żelaza trzeba było wynieść 400 kg, cementu i dwadzieścia kilka konewek płóciennych wody. Około godz. 11-ej znaleźliśmy się wszyscy szczęśliwie na szczycie i ciężar rozłożyli. 10 metrów kubicznych zawierająca jama w skale została poprzednio wykuta, co dwóch górali kosztowało 7 dni pracy. Po wytchnieniu na szczycie wszyscy się rozeszli — został tylko właściciel fabryki p. Gorecki ze swym monterem, ja i sześciu górali, aby spód krzyża w skale umócować. Gdy się nam szczęśliwie mimo deszczu udało i gdyśmy jamę kamieniami zasypali a narożniki krzyża cementem zalali, pozostawiliśmy na górze montera, który z 2-ma góralami resztę krzyża zmontował, co 6 dni pracy kosztowało. Krzyż wystaje nad skałę 15 metrów — ramię poprzeczne na $5^1/_2$ metra. W przecięciu ramion jest tarcza z blachy a w niej wycięty napis, jaki Ojciec św. dla krzyżów jubileuszowych sam ułożył, a który opiewa: „*Jesu Christo Deo-restitutae per Ipsum salutis MCM*". Waga krzyża wynosi 1819 kg. Koszt wykonania, wykucia jamy w skale i zmontowania krzyża wynosi 735 złr. Poświęcenie krzyża odbyło się dnia 10 sierpnia. Po odprawieniu Mszy św: o godz. 7-ej wyruszyli parafianie i liczni goście do Kuźnic, dokąd napływać poczęli z różnych stron nowi uczestnicy wycieczki, których liczba przekroczyła 300. Poświęcenia krzyża z wielką uroczystością dokonał ks. kanonik i kanclerz Bandurski z Krakowa. Po poświęceniu krzyża i odśpiewaniu przez obecnych rzewnej pieśni, na znak dany wielką chustą, powiewaną ze szczytu, na który można wejść, a obserwowany z Zakopanego przez lunetę, uderzyły wszystkie dzwony w kościele parafialnym, aby tym, którzy w uroczystości udziału nie wzięli, chwilę dokonania poświęcenia obwieścić. Gdyśmy schodząc doszli do tak zwanego „Siodełka", wygłosił podniosłe kazanie ks. Profesor Łabuda z Przemyśla. Odśpiewaniem pobożnej pieśni zakończyła się ta podniosła uroczystość, która tak wielkie wrażenie zrobiła, że z wielu oczu łzy rozrzewnienia popłynęły. Bogu widocznie miłem było to dzieło, gdy tak przy wyniesieniu krzyża jak i jego poświęceniu ochronił wszystkich uczestników od najmniejszego choćby nieszczęśliwego przypadku. Nadmienić tu jeszcze muszę, że na dole krzyża umieszczoną będzie tymi dniami tablica z napisem: „Zbawicielowi świata na przełomie wieków 1900 1901 parafia Zakopane z swoim proboszczem postawiła krzyż ten, wykonany w fabryce Józefa Goreckiego w Krakowie". Tablica ta na czas nie wykończona, nie mogła być umocowana przy poświęceniu, jak to było w programie.

Zakopane 3/IX 1901.

Ks. Kazimierz Kaszelewski
proboszcz.

(Z „*Głosu Narodu*" Ilustrowanego).





PIERWSZE

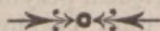
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



(Ciąg dalszy).

Rozdział XXVII.

Uwięzienie i wygnanie ks. Arcybiskupa Fransoni'ego. — Nasiona niezgody. — Zaproszenie odrzucone. — Nieprzyjemny wypadek. — Nowe opuszczenie. — Dwaj znakomici katecheci. Klerycy archidyecezyi turyńskiej. — Ćwiczenia wojskowe. — Ogród matki Małgorzaty.

W czasie opisanej przez nas uroczystości rozdania koronek przytrafiły się w Turynie smutne wypadki, będące przyczyną wielkiego zmartwienia dla ks. Bosko i jego młodzieży. Mówimy tu o uwięzieniu i wygnaniu ks. Fransoni'ego, arcybiskupa turyńskiego. Przyczyną a raczej pretekstem do tego gwałtu, dokonanego na osobie nieustraszonego następcy św. Maksyma, było, że tenże wypełniając odważnie obowiązek pasterski, przypomniał o ekskomunice, rzuconej na tych wszystkich, co w kwietniu tegoż roku głosowali za wnioskiem hr. Siccardi'ego, ministra sprawiedliwości; uchwalony wówczas wniosek, depcący prawa Kościoła, konkordaty i protesty Stolicy Apostolskiej, znosił między innymi przywilejami „*forum kościelne*" i poddawał biskupów i kapłanów sądom świeckim. Arcybiskup wydał wtedy rozporządzenie do duchowieństwa aby w razie wezwania do sądu nie stawało tam bez pozwolenia zwierzchności duchownej. Gdy zaś sam został wezwany do trybunału świeckiego, odpowiedział, że jeszcze nie prosił Papieża o pozwolenie; stawi się zaś, jeżeli je otrzyma. Nie uwzględniono tego objaśnienia i jako nieobecnego skazano na miesiąc więzienia, które zaczął odsiadywać 4go maja w cytadeli turyńskiej. Trudno opisać smutek, jakim przejęci byli wszyscy uczciwi ludzie na wieść tego nieprzewidzianego faktu, wielu zaś gorzko płakało a do tych należeli wychowańcy ks. Bosko, którzy kochali ks. Arcybiskupa jako swego opiekuna i ojca.

Tu był dopiero początek boleści. Jednym z tych, co przeprowadzili w parlamencie prawo Siccardi'ego, był Piotr Derossi di Santarosa, minister rolnictwa i handlu. Mieszkał on w parafii św. Karola, obsługiwanej przez ojców Serwitów, proboszczem zaś był podówczas przełożony i prowincyał O. Buonfiglio Pittavino, zakonnik, łączący w sobie wielką dobroć serca z niezachwianą wiernością dla swoich obowiązków. Przy końcu lipca minister Santarosa zachorował i prosił o św. Sakramenta. Chory się wyspowiadał, ale w celu administrowania mu św. Wiatyku proboszcz zarządał odwołania złego, które poczynił Kościołowi. Santarosa odmówił, w końcu jednak ustąpił; tymczasem 5go Sierpnia wieczorem umarł bez przyjęcia św. Wiatyku na drogę wieczności.

Krewni, przyjaciele, ministrowie, senatorzy, deputowani, pomiędzy którymi był hr. Kamil Cawour, i dziennikarze poczęli krzyczeć na nietolerancyę proboszcza i Arcybiskupa; gromady krzykaczy i najmitów, zebranych prawie ze wszystkich państw włoskich, wyły na placach miejskich, nacierały na klasztor Serwitów i groziły zyciu proboszcza. Mało brakowało, że go nie rozerwali w kawałki. Wreszcie 7go Sierpnia proboszcz i jego bracia zakonni zostali niecnie z klasztoru wypędzeni.

Po Serwitach przyszła kolej na ks. Arcybiskupa Fransoni'ego. Nazajutrz po smierci Santarosy hr. Ponza di San Martino i Alfons la Marmora, minister wojny, udali się w imieniu rządu do miejscowości, zwanej Pianezza, gdzie właśnie ks. Arcybiskup znajdował się na letniem mieszkaniu, i zażądali od niego zrzeczenia się dyecezyi. Nieustraszony pasterz odmówił ich żądaniu i dodał śmiało: *„poczytywałbym siebie za nikczemnika, gdybym w tak ważnych chwilach dla Religii miał się zrzec dyecezyi"*. I oto nazajutrz, 7go Sierpnia, żandarmi zabrali ks. Arcybiskupa z Pianezzy i jako więźnia osadzili w fortecy Fenestrelle. Skazany następnie na banicyę czcigodny ten obrońca Kościoła w dniu 28ym września był odprowadzonym do granicy francuskiej, gdzie zaprotestował przeciwko gwałtowi. Ks. Arcybiskup Fransoni za miejsce wygnania obrał Lugdun, gdzie oddawały mu kolejno należne honory władze cywilne i wojskowe, duchowni i wierni. Stądto zarządzał archidyecezyą turyńską aż do śmierci, która przypadła w 1862 r. Nieprzyjaciele tego dzielnego pasterza, szczerego przyjaciela ks. Bosko i opiekuna jego instytucyi, starali się go osławić, nie lękając się nawet głosić, jakoby był *spiskowcem prze-*

ciwko rządowi królewskiemu, ale usiłowania ich były próżne. Papież, biskupi z Piemontu, Sabaudyi, Liguryi i innych prowincyi i katolicy rzekłbyś z całego świata oddawali pochwałę jego wystąpieniu, okazując podziw dla niezwykłej odwagi. Historya bezstronna wykazała jego niewinność a, bogacąc świetną kartą męztwa tego pasterza, napiętnuje na zawsze jego prześladowców.

Nie możemy tu również nie nadmienić, że 14go tegoż miesiąca o mało co nie wyrządzono nienawistnej demonstracyi hospicyum św. Franciszka Salezego. Wieczorem tego dnia motłoch, nahałasowawszy się dostatecznie przed kościołem N. M. Pocieszenia, gdzie mieszkali zakonnicy — Oblaci Maryi, mniemani wspólnicy ks. Arcybiskupa Fransoni'ego w działaniu przeciko rządowi, postanowił pod tymże pretekstem wyprawić kocią muzykę księdzu Bosko i jego chłopcom. Gromada nicponiów stanęła już przed domem, gdy jeden z demonstrantów, który znał ks. Bosko i doświadczył jego życzliwości, podniósł głos, wołając: „Przyjaciele, słuchajcie! Niektórzy z was chcą iść do Valdocco, aby wyłajać także ks. Bosko. Posłuchajcie mojej rady i nie idźcie tam! Ponieważ to jest dzień pracy, znajdziecie tam tylko tego kapłana, jego starą matkę i kilku biednych chłopców w przytułku. Zamiast życzyć śmierci, powinniśmy wołać „niech żyje", ponieważ ks. Bosko kocha synów ludu i pomaga im. Nie idźmy zatem aby wołać *niech żyje* albo *precz z nim*, ale udajmy się gdzieindziej!" Te słowa wstrzymały zgraję, która stąd poszła niepokoić ojców Dominikanów i Barnabitów.

Oratoryum nasze w tym czasie było wystawione na inną próbę niemniej niebezpieczną. Wie szatan, że każde królestwo, społeczeństwo albo rodzina, żyjąca w niezgodzie, nie może długo istnieć i powoli zupełnie się rozpada: gdy więc od samego początku starał się napróżno zniszczyć dzieło ks. Bosko szyderstwami, oszczerstwami a nawet pogróżkami, chwycił się wreszcie jeszcze jednego środka, t. j. rozdwojenia. Nasiona niezgody były rzucone od kilku lat z małym skutkiem i te się przyjmowały pomiędzy niektórymi pomocnikami ks. Bosko, którzy przychodzili z miasta do wykładu katechizmu i lekcyi w szkole, jak również do zabawienia dzieci w czasie rekreacyi. Niektórzy ludzie świeccy i duchowni domagali się, aby chłopcy brali udział razem wszyscy w widowiskach publicznych i uroczystościach owego czasu i by tu krzyczeli „niech żyje", tam wydawali okrzyki śmierci; inni dla rozgrzania młodocianych umysłów i wygłaszali i bronili publicznie różne dowcipy i pojęcia o religii i polityce. Ks. Bosko jednak inaczej na to patrzał, nie mieszając się wcale do spraw politycznych: oświadczył stanowczo, że polityka, jakiej chłopców w Oratoryum miano uczyć, powinna zależeć na zabronieniu im czynienia złego, wyrobieniu ich na dobrych chrześcijan, posłusznych synów rodziny, iżby z czasem stali się pożytecznymi i zacnymi obywatelami. Stąd nigdy im nie pozwalał brać razem udziału w pewnych manifestacyach niebezpiecznych a kolegom swoim zalecał, aby nie wygłaszali młodzieńcom swoich doktryn niewczesnych, które tylko mogą ich oderwać od zajęć właściwych.

Pod tym względem przytoczymy kilka faktów. Pewnego dnia przybył do ks. Bosko markiz Robert D'Azeglio i prosił usilnie, aby tenże na czele swoich chłopców zechciał wziąć udział, łącznie z innymi instytutami turyńskimi, w zabawie z widowiskami na placu publicznym.

— Panie markizie, odrzekł ks. Bosko, hospicyum to razem z oratoryum nie stanowią jednostki moralnej, są raczej biedną rodziną, utrzymywaną z miłosierdzia obywateli tego miasta: szydzonoby z nas, gdybyśmy się tam pokazali.

— Właśnie, pochwycił patrycyusz, niech wie miłosierdzie publiczne, że oratoryum nie rożni się od nowszych instytucyi. To wyjdzie tylko na dobre: pomnożą się ofiary, ja zaś i rada miejska będziemy działali na jego korzyść.

— Dziękuję Panu za dobre chęci, jednakże oświadczam że postanowiłem silnie się trzymać jedynego celu, t. j. pracować nad stroną moralną biednych chłopców za pomocą nauki i pracy, bez zajmowania ich głów doktrynami niepotrzebnemi. Zbierając chłopców opuszczonych i starając się o to, aby dla rodziny i społeczeństwa byli dobrymi synami i obywatelami, jasno wszystkim pokazuję, że oratoryum nietylko się nie różni od nowszych instytucyi, ale raczej jest z niemi zgodnem i im pomocnem.

— Rozumiem wszystko, dodał D'Azeglio, ale Ksiądz się mylisz, i jeżeli nadal pójdziesz tą drogą, wszyscy opuszczą oratoryum i istnienie jego stanie się niemożebnem. Trzeba świat poznać a stare i nowe instytucye podnieść do pojęcia czasu, w jakim żyjemy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Za pozwoleniem władzy duchownej — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1902.

3. — Kto więc złoży jednorazową ofiarę w ilości **1** *korony* austr. (1 *marki*, lub 50 *kopiejek*), będzie miał prawo do udziału w intencyi onych **12** Mszy św. i na własną korzyść, jako też na korzyść drogich jego sercu osób żywych i umarłych, tudzież do zamiany intencyi w jakiejkolwiek okoliczności wedle szczególnych swoich potrzeb i życzeń.

4. — Składając takąż samą ofiarę może każdy w taki sam sposób zapisać dzieci, osoby nieobecne, zmarłych, jednem słowem kogokolwiek, *nawet bez jego wiedzy*.

5. — Chcąc zaś uczestniczyć jeszcze obficiej, albo umożebnić drugim uczestniczenie obfitsze w korzyści duchowej niniejszego **Związku mszalnego**, może każdy, ponawiając wspomnianą ofiarę **1** *korony* austr. (1 *marki*, 50 *kopiejek*) równocześnie pomnażać, ile mu się podoba, wpisy, tak za siebie, jako i za drugich, bądź żywych, bądź umarłych, lub też złożyć *jednorazową* większą ofiarę.

6. — Imiona i nazwiska wpisanych umieszczą się w osobnych ku temu książkach i będą się przechowywać na wieczną pamiątkę w kościele Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, w **Oświęcimiu.**

7. — Związek niniejszy ma swą główną siedzibę w **Oświęcimiu** (Galicya).

Ofiary i wszelkie korespondencye najlepiej przesyłać pod adresem:

AUSTRYA
OESTERREICH.

Wielebny X. Dyrektor Zakładu X. Bosko
OŚWIĘCIM
Galicya.

UWAGA. — Każdy z zapisanych otrzyma *obrazek pamiątkowy* z wizerunkiem Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, i portretem X. Jana Bosko.

Ktoby *osobiście* nie mógł wpisu dokonać, może to uczynić listownie, przysyłając wpisy i ofiary wprost do **Oświęcimia** pod wyżej wymienionym adresem.

Przyczem uprasza się Szanownych Członków **Związku** o podawanie adresu (*imienia*, *nazwiska*, *miejsca pobytu*, ostatniej *poczty* i *prowincyi*) jak najdokładniej, byśmy im mogli wysyłać odpowiednią liczbę *obrazków pamiątkowych*, i. t. p., a także, by przez to ujść wszelkich trudności pocztowych. Pożądanem jest również, aby do nazwisk dodawać swój *stan* (*zawód*, *urząd*, lub *godność*), a przy imionach kobiecych określenie: *Pani*, lub *panna*.

Wszystkich zaś korespondentów uprasza się o pismo czytelne, niewyraźny bowiem charakter ręki przyczynia się niepomiernie, że mimo najlepszej woli i największej z naszej strony staranności, zachodzą w przepisywaniu nazwisk osób, lub miejscowości, niemiłe pomyłki.

L. 4675.

Pozwalamy drukować.

Kraków, 13 paźdz. 1893.

† JAN,
książe Biskup.

W Zakładzie Salezyańskim w Oświęcimiu można nabyć książki następujące:

Ksiądz Bosko przez Dra Karola d'Espiney (1 korona lub 1 marka).

Monografia ta przełożona z języka francuskiego na 4 inne mowy porywa i unosi obrazowością opisu i od samych pierwszych stronic przykuwa uwagę czytelnika. Autor w skąpych ramach 60 stron (z względu na skromność żyjącego jeszcze ks. Bosko) zamyka całą działalność tego wielkiego męża aż do roku 1880 i zapanowawszy zupełnie nad przedmiotem przedstawia nam w harmonijnej całości wierny jego obraz. Wszystkie inne stronice aż do 170 są to raczej zapiski historyka, surowy materyał do biograficznego opracowania, niż dalszy ciąg życiorysu. Czytamy w nich przejmujące zdarzenia, budzące wiarę fakta, ale to wszystko w rozdrobieniu, bez związku, niby bawiące szkice o jaskrawych barwach. Autor widocznie odczuwał to głęboko, co pisał, dlatego ta książka robi wrażenie i zalecana być może wszystkim osobom interesującym się dziełami salezyańskiemi.

Joannis Baptistae Francesiae Sacerdotis. **Brevis narratio de Joanne Bosco Sacerdote Taurinensi** (1 korona lub 1 marka).

Pod względem literackim jest ten życiorys od powyższego więcej wykończony: widzimy księdza Bosko w kolebce i w grobie, a karty jego żywota otwierają nam się w porządku chronologicznym. Wszystko tu ujeto w jedność i oddano z wielką proporcyonalnością szczegółów. Autor mając na myśli szczególnie młodzież szkolną (*nam lingua latina, vel hisce temporibus, in honore est, et in puerili institutione etiam nunc usurpatur magnosque usus affert, et in omnibus fere gentibus studiose excollitur*) wszystkich krajów, przedstawia jej tego edukatora i pedagoga, *cuius res gestae orbis terrae regionibus definiuntur*, w wspólnym języku łacińskim.

Tegoż ks Jana Francesii:

Pamiątka ś.p. X. Augusta Czartoryskiego. Przyswoił polskiej mowie ks. Jerzy Kalinowski.

Niewoląca to i rzewna nad wyraz książka, opisująca po krótce dzieje tej duszy wybranej, która życiem ofiary niezawodnie na szalach miłosierdzia Bożego zaciężyła korzystnie dla narodu naszego. Dla nas Polaków życiorys ten aczkolwiek pobieżny i zbyt zacieśniony, osobne ma znaczenie. Przez to polskie książę, wyzuwające się z wszystkich świata marności i wielkości, kraj nasz zawarł śluby z zakonną Salezyańską rodziną, zgromadzeniem mającem nad inne zadania wyraźny cel pracowania nad rzeszą ubogą i wespół z nią. Za przykładem ks. Augusta i jakby Opatrznościowym skutkiem jego ofiary, rozmnożyły się dalece powołania salezyańskie w Polsce. Już i pierwsza stacya salezyańska na ziemi polskiej w Oświęcimiu się otwiera. Ufajmy, że rodzajna praca synów ks. Bosko i na naszej ziemi bujne wyda plony, a jak św. Kazimierz wiódł rycerstwo polskie ku zwycięztwu, ukazując się w powietrzu nad walczącymi szeregami, ufajmy, że i ten nasz współczesny Jagiellończyk w walce z socyalizmem wyprosi zwycięstwo chrześcijańskim znakom.

Modlitwy Wspólne wychowanków salezyańskiego zakładu w Oświęcimiu z dodatkiem Dziewięciu Nabożeństw do Nejsł. Serca Jezusowego i różnych pieśni (40 hl. lub 40 fenigów).

Jest to mała książeczka do nabożeństwa o 164 stronicach. Pierwsza część zawiera modlitwy wyjęte i przetłomaczone z książki X. Bosko p. t. *Zaopatrzony Młodzieniec.* Część druga zawiera mało znane u nas nabożeństwo do Serca Jezusowego. W trzeciej części znajdujemy Godzinki 22 z najrzewniejszych polskich pieśni.